Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 25 sierpnia 1935 r. Nr. 34.



MOJA CHATA

Kiedyś, w przyszłości, gdy mnie życie zmęczy
Zbuduję sobie bielusieńką chatę
(Tylko to jedno — nic nie pragnę więcej)
I w niej żyć będę zimą, wiosną, latem.

Chatę z okienkiem na ogród i pole,
Na sad wiśniowy, zdobny w świeże kwiecie,
Na kręty strumyk i smukłe topole
— Chatę zbuduję, jedyną na świecie.

W mym ogródeczku cudownie wyrosną
Malw kolorowych okazałe kiście,
A inne — wdzięczyć się będą już z wiosną
I chwiać i ruszać dumnie szorstkim liściem.

Tłuste i krągłe słoneczników twarze
Wespół ze słonkiem zbudzą mnie porankiem,
Ach — o tej chwili całe życie marzę
I o ogródku z groszkiem i tymiankiem.

Kiedyś, w przyszłości, gdy zmęczona będę
I gdy mnie znudzi rozgwar mego świata,
Zbuduję chatę — przed nią wśród malw siędę,
I w niej przepędzę najszczęśliwsze lata.

Marja Wawrzyńczakówna.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

16)

Zostaję narazie w Szwajcarji. Mam posadę, trochę pieniędzy w banku, przeczekam wojnę już tutaj.

Znów mignęło parę kartek — nowy list.

...„Odezwała się do mnie moja była narzeczona. List długi, pełen usprawiedliwiań się. Nie kochała mnie nigdy.

— Zaręczyła się ze mną, bo chciała zaimponować koleżankom.

— Teraz kocha innego szczerze i mocno...

List egoistki, kobiety bez serca. Pisała do człowieka, który został kaleką, do człowieka od trzech lat znajdującego się w okropnych warunkach moralnych poza nawiasem życia i któremu miała na krótko przed wojną ślubować miłość i wierność, nieprzymuszana, z własnej woli.

Dopiero teraz zgłębiłem całą dobroć serca pani, za co życie całe nie starczy mi do spłaty...

Październik 1917 roku.

Był chory, leżał 3 tygodnie w szpitalu. Miał bardzo silną anginę, połączoną z grypą. Pisał, że nie żałuje, że był chory, bo dzięki leżeniu w szpitalu, zrobili mu doktorzy operację w ranioną rękę. Coś tam skrobali, coś zszywali ale może ręką poruszać, podnosić ją bez bólu. Palcami tylko jeszcze źle włada, ale że to lewa ręka, więc nie jest tak źle. Pocieszają go, że z czasem wrócą mu całkowicie ruchy palców.

Ucieszyłam się szczerze, jakby tu o rodzonego brata chodziło.

10-go grudnia 1917 roku.

— Pani Moja Jedyna.

Miałem wczoraj sen, który mi szarpie nerwy do granic rozpaczy.

Śnił mi się dom mój rodzinny, obecnie należący do wuja, w którym urodziłem się i w którym zmarła matka moja. Stałem na ganku z matką. Wtem ujrzałem panią, idącą ku mnie po przez murawę. Uśmiechała się pani i kiwała nam przyjaźnie głową. Wtem, gdy już była blisko ganku, z za krzaków jaśminu wysunął się jakiś mężczyzna wysoki i silny i schwyciwszy ją wpół zawrócił z powrotem na tę samą ścieżkę.

Krzyknąłem, chciałem biec i obudziłem się.

A teraz nie mam chwilki spokoju. Myśl, że może sen ten jest proroczy, jest przeczuciem, że sam w tym cudnym kraju jest ktoś, kto korzystając ze swobody, chce mnie, nędzarzowi moralnemu, zabrać jedyną Istotę drogą mi, do której przyrosła moja chora dusza, doprowadza mnie do obłędnej rozpaczy.

Pani Moja, proszę mi napisać szczerze, czy mój sen i przypuszczenia są prawdziwe. Wolę śmierć odrazu niż powolne konanie domysłów i przypuszczeń.

Jeżeli jednak ma Pani dla mnie choć trochę litości, to niech mi Pani przyrzecze, że mnie nie opuści, że będzie czekać, aż skończy się moja niedola i wyrwę się na wolność. A wtedy upadnę Ci do nóg i będę błagać, byś wyszła za mnie, bym mógł swoją miłością i oddaniem zapłacić Ci za Twoją dobroć i za uratowanie mnie od zatracenia.

Nie jestem zamożny, ale mam pewien kapitał, który pozwoli nam żyć bez troski, nawet o ile nie wrócę do wojska.

W ręku pani jest moje życie lub śmierć. Czekać będą od Niej listu z wyrokiem. Proszę nie męczyć mnie długiem czekaniem. Pani zrozumieć nie może nawet, jakie męczące są dla nas zamkniętych, odgrodzonych od świata kratami, godziny oczekiwania, a cóż dopiero dnie".

— — — — — — — —

Odpisałam mu jak umiałam najserdeczniej, że nie mam nikogo, ktoby chciał mnie porwać. Przyrzekłam mu czekać na niego, jeżeli mu tak bardzo na tem zależy.

Żal mi szczerze biedaka. Przecież to okropne dla młodego, zdrowego mężczyzny siedzieć za kratami, być odciętym od świata i ludzi, zdanym na łaskę i niełaskę takich brutali jakimi są Niemcy, pozostawionym własnym myślom jedynie, gdy tam na wolności życie wre, gdzie toczą się walki i boje, gdzie ważą się rzeczy wielkie, o dziejowej doniosłości, gdzie kochają i poją się szczęściem.

Nie opuszczę Cię, biedaku. Nie noszę pierścionka od Ciebie, nie ślubowałam Ci miłości, nie szeptałeś mi w wieczory letnie księżycowe, lub w parne dnie lipcowe słów słodkich jak miód, a dźwięcznych jak śpiew słowika, mających w sobie czar wiosny polskiej, a zapach narcyzów, bzu, jaśminu i akacji, ale dochowam Ci wierności.

— — — — — — — —

1918 rok.

Wojna się ciągnie, drożyzna rośnie, pieniądze moje maleją z każdą wysłaną paczką.

Przeprowadziłam się. Mieszkam teraz w wspólnym pokoju z dwoma studentkami, Rosjankami, dla oszczędności. Łóżko i parawan to cały mój pokój. Męczy mnie to życie wspólne z osobami, z którymi prócz przygodnej znajomości nic więcej mnie nie łączy. Ciasno mi, duszno, niewygodnie, żal mi mego ślicznego pokoiku, w którym mieszkałam cztery lata. Pełen był słońca, z widokiem na Dent du Midi i takie wygodne miał meble, ale miałam do wyboru — pokój, lub paczki dla moich chrześniaków. Wybrałam to drugie.

Marzec 1918 r.

Pijam teraz herbatę bez cukru i jadam chleb bez masła. Zaoszczędzony tym sposobem cukier i masło wysyłam jemu.

Kiedyż się ta wojna skończy!

— — — — — — — —

Była u mnie Zuza. Wychodzi za swego Jacka. Mają się pobrać w czerwcu. Jedzie na 3 tygodnie do jego matki do Zerbs. Jest bardzo zakochana i pełna radości i wiary w czekające ją szczęście.

Na odchodnem powiedziała mi, że Staszek wyjeżdża do Włoch, bo wstępuje do Legjonów Polskich, które tam tworzy książę Leon Radziwiłł z panem Dienstlem-Dąbrową.

Zabawne, że jednym z organizatorów jest książę, zrodzony z matki Francuzki, nie umiejący ani słowa po polsku i mieszkający stale w Paryżu.

Staszek wyjeżdża! Co ja będę robić bez niego, bez jego towarzystwa i opieki.

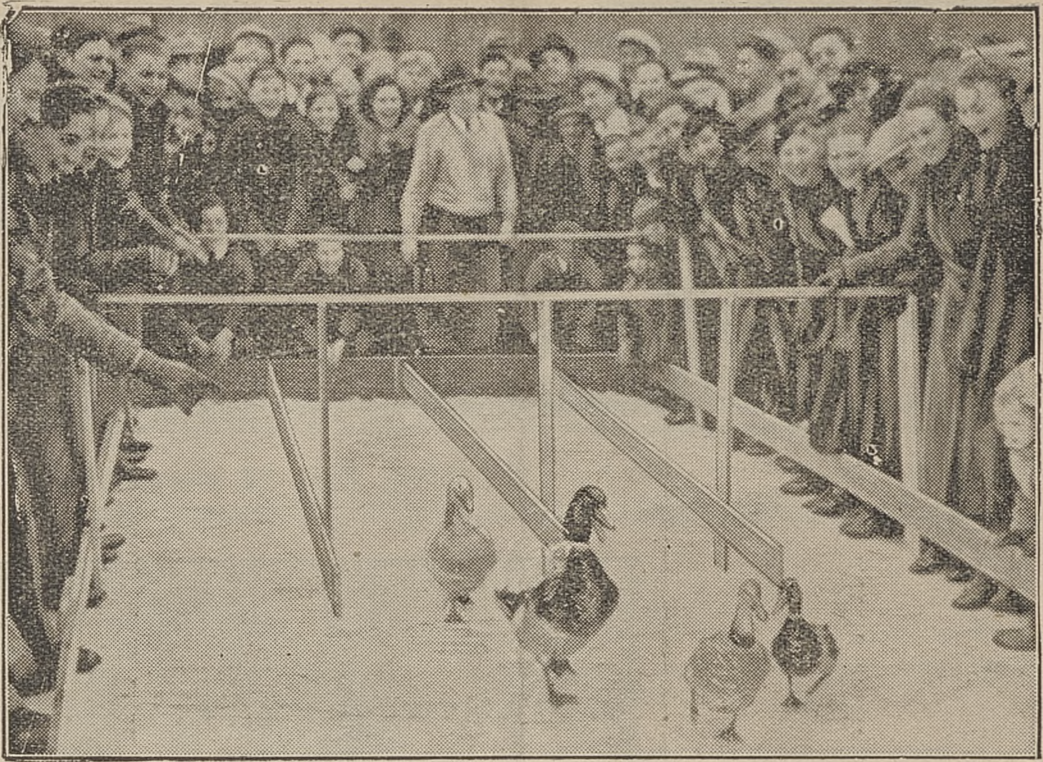
Pojedzie, zapomni, że gdzieś tam w Bernie mieszka ta zabawna koleżanka Gabriela, której on tyle okazał przyjaźni. Jak mnie boli zawczasu ta myśl, że jego nie będzie przy mnie.

......Nie spałam całą noc, tak szarpała mi nerwy ta wiadomość, że Staszek wyjeżdża.

— Co będę robić bez niego. Jak wytrzymam tu....

— — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dziwactwa miljonerów amerykańskich nie mają granic. Ostatnio w jednym z miast amerykańskich urządzono wyścigi... kaczek, które jak widzimy na zdjęciu, cieszyły się ogromnem powodzeniem.

HANKA K.

Dzień powszedni

Dzień powszedni zaczyna się zawsze od tego, że Hela wkłada na złocistą, roztrzepaną czuprynę błękitny kapelusik, potem zaś bardzo starannie ubiera zniszczone palto, „stojąco" połyka kawę i ciepło, bez pośpiechu całuje ręce matki. Dzień mógłby się zacząć od róż i listów miłosnych, jak w salonowej, wykwintnej powieści, ale nie byłoby to zgodne z prawdą a raczej z Helą, która kwiaty kupuje sobie sama od straganiarki razem z bułką i kiszonym ogórkiem.

Dlatego, że zna wartość czasu, przystaje przed wystawami. Kobieta może się znać na obiegowej monecie jak wielokrotny minister skarbu, ale umie je z wdziękiem wydawać, to samo z czasem. Hela kocha się w morelowym aksamicie i mimozie, tak, jak dziewczyna, która wie, że sobie tego nigdy nie kupi. Nie wie, jak pachnie mimoza, ale patrząc na nią czuje słodką woń całego ogrodu i idąc ulicą, flirtuje na zabój bez słów — oczyma. Ostatecznie nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby się w niej ktoś zakochał. Żadna gwiazda nie skręciłaby karku, a na ziemi nie byłoby żadnej katastrofy. Właściwie Hela znała się jak kupiec z rutyną — na bezrobociu, wekslach, interesach, a na miłości ani trochę.

Tęskniła więcej za maszyną do pisania i pensją niż za chłopcem i wiosną.

Za dziesięć minut zajdzie do prywatnego biura pośrednictwa pracy. Sucha, niemiła urzędniczka prowadzi przez telefon sprzeczkę miłosną.

— Nie przyjdziesz? Nie potrzeba. Mogę pójść z innym.

Gdy skończy, pyta się jej:

— Czy dla mnie niema żadnej pracy?

— Niema.

— Przecież dziś pierwszy.

— A jutro będzie drugi. Cóż mi do tego?

— Ale ja już czekam cztery miesiące.

— Jak się pani śpieszy, to niech się pani przejdzie zamąż.

— Proszę to stosować do siebie.

Słowa stają się szorstkie.

Gdzieindziej eleganccy woźni ruszają ramionami na pytania o wolne posady. Mają miny tak zarozumiałe, jakby sami na świat przyszli odrazu w mundurach ze złotemi guzikami. Pytają kto, poco i do kogo? Ruszą w grobie dziadka i babkę, imiona własne i miejsce urodzenia i po długich pertraktacjach w sensie: „u drzwi twoich stoję panie" można przejść z przedpokoju do gabinetu.

Przyjmuje „dyrektor".

Uśmiecha się bardzo życzliwie.

— Dlaczego pani szuka pracy? Taka młoda śliczna dziewczyna może znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Proszę pomyśleć nad tem.

Ma ochotę cisnąć mu w twarz przyciskaczem.

Ale potem przystaje przed oknami wystawowemi i przygląda się sobie uważnie.

— Ostatecznie życie to jest pociąg i może się wykoleić na każdej stacji, obojętnie na której — ale to mówi koleżanka Luśka, a Luśka nie powiedziała jeszcze nic rozsądnego odkąd urosła.

Jakimś dziwnym przemysłem, długim „wywiadem" zdobyły od chłopca na chwilę gazety — bezpłatnie. Przeczytały ogłoszenia ciekawie jak romans. Poszukiwano mundantki i panny do księgarni.

U adwokata istna rewja, kandydatek ze dwadzieścia, co jedna to ładniejsza.

— Przecież my nie myślimy angażować baletu, ani urządzać konkursu piękności — śmieje się bardzo miły, siwy „mecenas".

Bawi się dziewczynami, jak żywą humoreską i wszystkie „odpadają".

Księgarnia jest szablonowa, jak wiele innych. Na wszystkich ścianach książki zielone, numerowane. Kasjerka nazbyt szczupła, już starsza ale ładna dziewczyna o złych oczach.

— Czy można mówić z szefem?

— Można, ale później. Wyszedł do miasta. Proszę poczekać na dworze.

Zaproszenie do spaceru po ulicy jest nie na czasie, bo mróz pod wieczór jeszcze silniejszy. Dziewczęta są głodne, zmęczone, ale to ich nie dziwi, dziwią tylko łzy na rzęsach.

— Płaczesz?

— Nie, tylko my tak obie z mamą nie mamy środków do życia.

— Masz jeszcze do kogoś wrócić. Mnie dziś wypowiedzieli mieszkanie, nie mam ani psa życzliwego.

— A twój chłopiec?

— Kocha się w innej.

— I pozwoliłaś na to?

— Moja droga, kurs funta spada. Miłość to giełda.

— Lusiu?

— Czego?

— Przeprowadź się do nas.

— Nie dość ci swojej biedy takaś bogata?

— To nie, ale dobrze ci u nas będzie. Mama będzie ci rada.

— Twoja matka... Powiedz twojej matce, że jest bardzo dobra, że przychodziłam do niej, jak się idzie w niedzielę do lasu i chłodnej krynicy. Całowała mnie czasem twoja matka, własnej nie pamiętam i wiesz ten pocałunek pachniał jak konfitury z róż, które nam dawała do podwieczorku. Boże, jak lubiłam konfitury, róże i pocałunki!

— Teraz już nie mamy konfitur.

— Wiem.

— Lusiu, chodź do nas.

— Przyjdę jutro, dziś mogę spać u Jagi.

— Jaga ma posadę?

— Nie. Pobiera jeszcze zasiłek z zakładu ubezpieczeń.

— Lusiu?

— Co?

— Choć w biurze była harówka, byłyśmy takie szczęśliwe co... pierwszego.

— A ten młody prawnik, co tak za tobą oczyma wodził. Jak on to, mówił? Aha, że szczęścia nie można dostać, ani wyprosić, tylko je trzeba wziąć przemocą.

— Wypowiedzieli mu na trzy miesiące przed nami. Nie wiesz jak się mu powodzi?

— Już się powiodło. Umarł na zapalenie płuc.

— To ci szczęście.

— Jaga do dziś za nim chlipie.

— Jaga?

— Kochała go. Myślisz, że musiała o tem gadać wszystkim przez megafon?

Zziębły tak, że im zęby dzwoniły. Minęła dobra godzina w pierwszym zmierzchu. Lampy się jeszcze nie świeciły, tylko czasem zawarkotał w kierunku lotniska oświetlony samolot, podobny do latającej gwiazdy.

Weszły do księgarni. Kandydatek było kilkanaście pospolitych, ładnych i brzydkich. Nie chciały zrozumieć co do nich mówiono, rozsiadły się w fotelikach. Każda z nich była zmokła od śniegu i śmieszna, jak ilustracja do ciętego dialogu.

Pierwszeństwo z wieku przyznano „barchanowej" cioci, ciocia nie miała żadnych kwalifikacji na młodą panienkę, jakiej poszukiwano przez ogłoszenie, ale widocznie nie umiała się zestarzeć. Dziewczęta do tej chwili obce sobie, zawarły znajomość jak dzieci. Zwierzały się ze swych trosk, niepowodzeń, niedoli, upokorzeń. Nie odczuwały zazdrości konkurencyjnej, wobec siebie. Wszystkie były jednakowo płoche i smutne. W rozmowie po słowach pełnych ironji, przesuwało się serce kobiece w zmniejszeniu, w minjaturze, bo całem sercem „wygadać się" nie mogły.

— Kiedyż przyjdzie ten szef?

— Za kwadrans.

— Ale na którą godzinę?

Nareszcie przyszedł, zirytował się tem, że „panny" tarasują przejście gościom.

Na pierwszy ogień poszła panienka, ochrzcona na poczekaniu „grubasem". Mówiła za nią matka, zabiegając „szefowi" drogę.

— Moja córka wyraża się bardzo pięknie.

Ale córka nie „wyraziła" się ni razu.

Potem dziewczątko w typie Ewelyn Holt.

— Ile panna ma lat?

— Szesnaście.

— Tu nie ochrona dla dzieci.

Lusia ma lat dwadzieścia i dwa.

— Za dużo, poszukuję młodszej praktykantki.

Historja się powtarza. Ta za dorosła, ta niedorosła.

„Barchanowa" ciocia odchodzi, nie czekając swej kolei.

— Niechże pani zaczeka.

— Na co? gdyby mnie zobaczył, powiedziałby, że potrzebuje pięciolatki.

— Moje panie — mówi „szef" — zawiadomię was wszystkie listownie.

Będą to listy z serji tych, „które jej nie doszły".

Hela wróciła do domu z gorączką, objęła matkę ramionami i sercem. Istotnie do niej wracało się jak do niedzieli

— Lusia mówiła o tobie...

— Myślała z niepokojem o Lusi.

— Życie to jest pociąg i może się wykoleić, można też z tego pociągu wysiąść. Możemy również kochać i szaleć.

Wkrótce ogarnęła ją senność i jakiś przymus kochania, potrzeba dobrej miłości.

— Mamusiu, tak dobrze jest wracać do ciebie!

Na drugi dzień obok ogłoszeń o pracy, znalazła w dziennikach petitem:

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

27)

— Maj — rozumował Lekok — wziął od Millerowej wszystkie pieniądze, jakie tylko przy sobie miała ona, następnie dał polecenie, ażeby ta doniosła owej osobistości, którą ja wspólnikiem nazywam, by była ona wieczorem w jednej z szynkowni na Placu Włoskim. Nie znając zakładów tego rodzaju, nie mógł powiedzieć w którym i z tego powodu zaglądał przez szyby, by tym sposobem natrafić na kamrata.

Tak, to spotkanie było logicznem następstwem spotkania się Maja z Millerową rankiem.

By nie wyróżniać się wyglądem i wspólnik domniemany był ubrany na wzór Maja i Lekoka; miał również jak oni ciemną bluzę na sobie, na szyi jaskrawy szalik wreszcie na głowie czapkę z oberwanym daszkiem. W charakteryzacji tylko przesadził nieco, tak iż jego fizjonomja była twarzą nie już zwyczajnego apasza, lecz notorycznego złoczyńcy.

Maj, gdy tylko znalazł się przy stole, odrazu kazał sobie dać absyntu, a następnie sera i wina.

Jadł i pił — co się nazywa. Czy rozmawiał z siedzącym z nim mężczyzną?... Otóż odpowiedzieć na to było nie sposób, przez zapotniałe bowiem szyby bardzo niewiele zobaczyć było można.

— Muszę tam wejść — powiedział Lekok, po chwili głębszego namysłu — muszę dowiedzieć się o czem oni rozmawiają?

— Ależ jeżeli cię poznają, będziesz zgubiony — zawołał z niepokojem Nalewajka.

Młody ajent uczynił ruch pogardliwy.

— Jestem przygotowany na to, że mi mogą wpakować nóż w serce. Ale cóż z tego? Cóż ja bym był wart, jeżeli miałbym się takiej rzeczy obawiać? Przypomnij sobie, czy Żewrol cofnął się kiedy przed niebezpieczeństwem? Nie. Prawda?... A więc...

Stary ajent uwagi te przyjął jak skarcenie.

— Ty, stary, pozostań tu, na wypadek, gdybym ja tam został, a oni wyszli, byś mógł ich dopilnować. Ja zaś idę.

Pchnął drzwi, przeszedł zawadjackim krokiem salę, udając nieco podchmielonego, zwalił się ciężko na ławę, stojącą w bliskości stołu Maja i głosem ohydnie ochrypłym wołać zaczął ażeby mu dali zupę cebulaną i rumu.

Więzień i człowiek w czapce z oberwanym daszkiem rozmawiali ze sobą, lecz jak obcy, których wypadek przy wspólnym posadził stole, najzupełniej nie jak przyjaciele, którzy przybyli na umówioną schadzkę.

Porozumiewali się ze sobą w żargonie złodziejskim, tym prawdziwym, a nie z romansów kryminalnych.

— Cóż to za doskonali aktorzy! — myślał Lekok — jaka swoboda, naturalność, pewność siebie... ani śladu gry! Doprawdy, mogliby mnie łatwo w pole wyprowadzić, gdybym nie miał pewności niezbitej, że to jednak przebrani są ludzie!

Mówił właśnie człowiek w bluzie, narzekając na więzienia francuskie, przytaczając przytem przykłady, które znaleźćby można w bardzo specjalnych dziełach jedynie.

Dalej dawał charakterystykę dyrektorów nieomal wszystkich więzień we Francji, mówił gdzie karność jest duża, a gdzie rozluźniona i o wielu innych warunkach więziennych, jak np., iż w Poissy pożywienie dają dziesięć razy lepsze, niż w takiem Fonteraut...

Lekok załatwiwszy się z zupą i potrawką kazał sobie podać drugą karafinkę rumu i z głową opartą na rękach, zdawał się drzemać... słuchając pilnie.

Gdy przyszła kolej zwierzania się na Maja i ten również zaczął opowiadać swe dzieje zupełnie tak, jak je przedstawił sędziemu, nie pominął przytem podejrzeń jakie co do jego osoby powzięto, że jest wielką figurą jakąś, z czego śmiał się głośno i serdecznie. Wkońcu nadmienił, iż bardzo pragnąłby wrócić do Niemiec, lecz niema za co. Ma wprawdzie wcale dostatnie ubranie przy sobie, sprzedać którego nie udało mu się jednak.

Na to człowiek w bluzie głośno zaklął, mówiąc, że nie pozwoli na to, ażeby pozostawiać kamrata w kłopocie. Zna on, bardzo niedaleko, pewnego handlarza, który kupuje wszystko i bez żadnych wstrętów. Jest więc gotów go tam zaprowadzić.

W szynkowni był chwalebny zwyczaj, iż za stalowane napoje i jadło płaciło się zgóry, to też po ich skonsumowaniu nie było kłopotu z ich regulowaniem. Więc i Maj nie miał tego zachodu, wstał przeto tylko, wziął węzełek do ręki i rzekł krótko: „chodźmy".

I udali się w drogę, mając ciągle Lekoka za sobą.

Wydłużonym krokiem doszli do rogu ulicy Fer-á-Moulin, w którą się skierowali, a po przejściu kilkuset kroków zniknęli w wąskiej i zupełnie ciemnej sieni.

— Biegnij stary — rzekł natychmiast Lekok do Nalewajki — i dowiedz mi się od dozorcy, czy dom ten niema czasem drugiego wyjścia.

Dom nie miał nawet podwórza. Ajenci więc bez żadnych obaw mogli czekać na ulicy.

— Źle — rzekł wtedy Lekok do towarzysza — Maj musiał mnie poznać bezwątpienia. Możliwe zresztą, iż Fryc z hotelu Marjenburskiego dał mój rysopis wspólnikowi, co zresztą nie zmienia postaci rzeczy. Faktem jest, iż ci dwaj wiedzą kim ja jestem.

Nalewajka milczał, cóż miał na to odpowiedzieć? Czekali. Niezadługo zresztą Maj wysunął się z sieni, pobrzękując pieniędzmi i mając swego kamrata za sobą.

— Cóż to za łajdak — mówił — zostałem formalnie okradziony, niech go tam jednak djabli wezmą, obwiesia, a ciebie, przyjacielu, proszę na kieliszek likieru, trzeba przecież oblać sprzedaż.

Człowiek w czapce z oberwanym daszkiem nie miał nic przeciwko temu, oczywiście. To też bez żadnych ceregieli, weszli obaj do najbliższego szynku.

Lekok wiedział, że został poznany, to też pozostał na ulicy, zdając sobie sprawę z tego, iż do knajpy nie miał poco w tych warunkach wchodzić.

Czekał jednak wraz z Nalewajką dobrą godzinę na ulicy, nie spuszczając jednak oka z pijących, co mu przyszło z łatwością, dzięki dużej szybie wystawowej.

Nakoniec wyszli, by po pięciu minutach drogi wejść... do innego szynku, w którym grać zaczęli w domino, popijając grzane wino z korzeniami. Na tem się jednak nie skończyło, ponieważ następnie poszli do innego szynku, potem jeszcze do innego, aż wreszcie około godziny pierwszej po północy znaleźli się na placu St. Michel.

Lecz tam, niestety, pić już nie było można. Wszystkie szynki okazały się pozamykane.

Nowi przyjaciele naradzali się czas jakiś, aż wreszcie udali się w stronę przedmieścia St. Germain, trzymając się pod ręce. Alkohol, którego sobie nie żałowali, zaczynał dawać znać o sobie. Obydwaj zataczali się, śpiewali i mówili głośno, nie słuchając się wzajemnie.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, Lekok wyprzedził idących i szedł dalej tuż przed nimi, ażeby podsłuchać choć urywek rozmowy. Do jego uszu dochodziły jednak urywane tylko zdania, jak: „zrobimy dobry interes", „klawe pieniuchy na wesele", „samo srebro".

Trzeba było mieć silną wiarę, by w okazach podobnie się zachowujących dopatrywać się ludzi najwyższego towarzystwa. Należało mieć wobec tego bardzo silną, niczem nie dającą się zachwiać wiarę człowieka, którego dogmatem jest: „Wierzę, ponieważ jest to niedorzeczność".

Wiary tej nie miał Nalewajka wszelako.

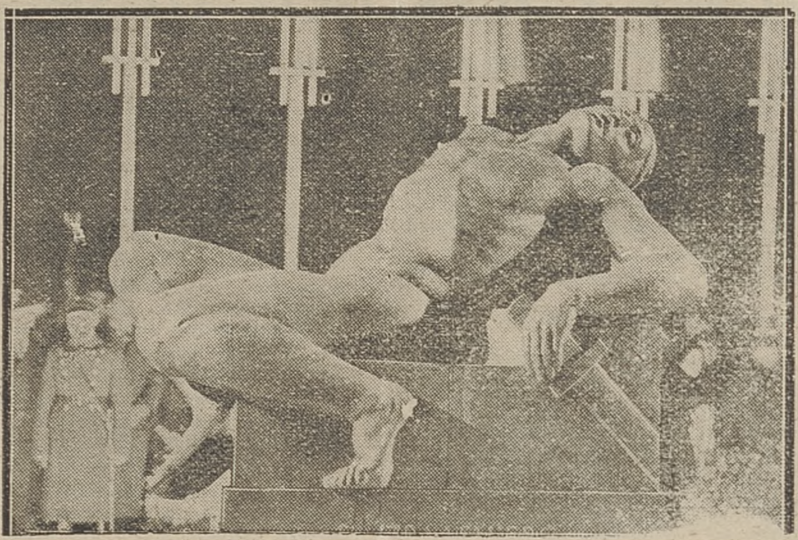
— Oj, coś bardzo źle idzie i coraz bardziej obawiać się zaczynam, byśmy dzięki temu Majowi na kpów nie wyszli obydwaj.

— Bądź spokojny — powiedział Lekok na to — i ja, przyznać to muszę, nie rozumiem zupełnie do czego zmierzają manewry tych dwóch pijaków, lecz jest to rzecz bez znaczenia. Teraz, gdy nasze ptaszki działają wspólnie, dłoń w dłoń

„Lusia G. bezrobotna otruła się ub. nocy esencją octową. Chorobliwa mania samobójstw z każdym dniem niszczy młode istnienia. Młodzież nasza nie umie brać życia poważnie. Lada niepowodzenie czy kaprys skłania ją... i wiele innych „okolicznościowych" nonsensów. Hela nie widzi morelowych aksamitów i mimozy.

— Nie umiemy życia brać poważnie. Nie, to nie to, nie umiemy tylko mówić poważnie o tem co nas boli, nie wolno nam krzyczeć ani żebrać. Lusia nie miała do kogo wracać, nikt na nią nie czekał. Dlatego... to zrobiła. —

Megafony ogłaszają rezolucje sejmowe. Hejnał gra rycerską starą pieśń o sławie, a na plantach student szepce koleżance — „kocham cię" — i dziwi się, że całe niebo mieści się w oczach jednej dziewczyny.



Pomnik poległych żołnierzy P. O. W. dłuta prof. E. Wittiga, na placu Małachowskiego w Warszawie.

idą, dzięki czemu nie potrzebuję się obawiać uderzenia z boku, jestem pewien, że ich zwyciężę. Jeżeli nawet jeden z nich umknąć nam zdoła, to pozostanie wtedy w naszych rękach drugi. A wtedy Żewrol się przekona, kto z nas miał rację!

Tymczasem pijackie ruchy dwóch kamratów stawały się coraz spokojniejsze i najwidoczniej wracała im świadomość. Z dużą uwagą zaczęli się przyglądać pałacom tej bogatej dzielnicy, wreszcie na ulicy Varennes, o parę kroków od ulicy de la Chaise zatrzymał się, pod murem dość niskim, za którym znajdował się najwidoczniej park rozległy.

Człowiek w bluzie rozprawiał. Tłumaczył obszernie Majowi, że pałac, w ogrodzie za tym murem się znajdujący musi być niewątpliwie zwrócony frontem do ulicy Grenelle.

— Jaki może być cel tej całej komedji? — pytał się w zdumieniu Lekok.

Wypadki zaczęły postępować jednak. Maj, posiłkując się barkami swego towarzysza, wydostał się na szczyt muru, przesadził go i znikł poza nim.

Człowiek w bluzie spokojnie zaczął wtedy na jego powrót oczekiwać.

XXXVII.

Lekoka w tym samym momencie tknęło złe przeczucie. Było już jednak zapóźno na to, by przeciwdziałać.

Przez jakąś minutę był jakby w omdleniu, szybko jednak przyszedł do siebie i powziął momentalnie decyzję, tą błyskawicą myśli, jaka cechuje ludzi genjalnych.

Doświadczonem okiem zmierzył odległość dzielącą go od wspólnika Maja, skupił się, a następnie w trzech potężnych skokach znalazł się na jego karku. Napadnięty chciał krzyczeć, lecz jedno potężne uderzenie kolanem w lędźwie powaliło go na ziemię; nim się mógł zorjentować, był już związany, zakneblowany, uniesiony ku górze, wreszcie zaniesiony na ulicę de la Chaise.

— Dziwna historja — odezwał się wreszcie ojciec Nalewajka nieco zdyszanym głosem — dziwna i niezrozumiała...

— Dosyć!... przerwał koledze Lekok głosem urywanym i chrapliwym, który jest zwykły ludziom w niebezpieczeństwie się znajdującym — dosyć. Jutro pomówimy o tem. Muszę się teraz oddalić. Ty, stary, pozostaniesz tutaj na czatach. Gdyby się Maj przypadkiem zjawił, czego się zresztą nie spodziewam, to go złap, gwizdkiem wzywając pomocy policji.

— Doskonale. Co mam zrobić jednak z tym związanym bubkiem?

— Niech sobie leży tutaj. Można być o niego spokojnym, związany jest bowiem dobrze. Gdyby przypadkiem przechodził rond policyjny, to go oddasz w jego ręce.

Tu zamilkł, nasłuchując. W oddali od strony ulicy Grenelle słychać było coraz wyraźniej echa kroków ciężkich, regularnych.

— Oto i oni — zawołał Nalewajka.

— Byłby to traf bardzo szczęśliwy, lecz tak się zdaje być istotnie.

Był to patrol policyjny rzeczywiście, Lekok wezwał go cichem gwizdnięciem i schwytanego wspólnika Maja oddał pod ich opiekę.

Zażądał przytem, by jeden z policjantów pozostał na straży wraz z Nalewajką, w oczekiwaniu na powrót domniemany zbiegłego więźnia.

— A teraz — oświadczył Lekok — biegnę na ulicę Grenelle narobić hałasu. Do kogo należy pałac, znajdujący się za tym murem?

— Jakto?... odpowiedział dowodzący oddziałem — więc nie wiesz tego, że cała ta posiadłość jest własnością arystokraty o wielkiem nazwisku i arcymiljonera, księcia de Sermeuse, tego samego, który ongi był przyjacielem...

— Ach, już wiem!... powiedział Lekok.

— Złodziej, który się zakradł do jego ogrodu miał zły nos. Dziś bowiem w pałacu tym jest zwykłe poniedziałkowe przyjęcie, cała służba jest więc na nogach, wszystko w ruchu.

— Goście się jeszcze nie porozjeżdżali — dodał jeden z policjantów — widziałem kilkanaście pojazdów stojących przed bramą.

Temi ważnemi informacjami zbrojny, Lekok pobiegł jak strzała do pałacu, bardziej zmieszany tem wszystkiem, co usłyszał, aniżeli się do tego przyznawał.

Zdawał sobie przecież doskonale z tego sprawę, że Maj, jeżeli się zakradł do pałacu, to nie z zamiarem kradzieży przecież, lecz jedynie, iż spodziewał się tym sposobem umknąć. Nie przestraszał go najwidoczniej przytem fakt, o którym wiedzieć niewątpliwie musiał, że w pałacu jest przyjęcie. Spodziewał się widać, iż mimo to zdoła się przekraść pomiędzy drzewami parku, aż do bramy wyjściowej i wydostać się tym sposobem na ulicę Grenelle.

To wszystko mówił sobie bohater naszej powieści, zbliżając się do książęcej siedziby. Właśnie gdy stanął przed oświetlonym pałacem, ostatni powóz ruszał od podjazdu, za którym portjer w wspaniałej liberji zamknął natychmiast bogato rzeźbioną ze złoceniami bramę.

Lekok podszedł wtedy do tego, w pewnej skali, dostojnika.

— Wszak to jest pałac księcia de Sermeuse? — zapytał.

Portjer spojrzał wyniośle na intruza, a następnie odezwał się bardzo ostrym głosem:

— Radzę ci, przyjacielu, byś szedł dalej swoją drogą. Na takich bowiem jak ty nie trudno będzie znaleźć tutaj drąg lub miotłę.

Lekok w tej chwili dopiero przypomniał sobie, że jego ubiór robi go podobnym do jakiegoś Hipolita Szupe.

— Eh! — powiedział — nie jestem tym za jakiego, dzięki przebraniu memu, uchodzić mogę. Jestem ajentem służby bezpieczeństwa. Oto moja karta. Przychodzę tutaj z przyczyny, iż rzezimieszek jakiś zakradł się do waszego ogrodu po przez mur od strony ulicy Varennes się znajdujący.

— Rany boskie!... Złodziej w naszym domu?!

Młody ajent pomyślał, że trochę przesady bynajmniej w tym wypadku nie zaszkodzi, przeciwnie, da większy posłuch jego słowom.

— Tak jest — powiedział — i to jeden z najniebezpieczniejszych, zbieg z więzienia i morderca. Przed chwilą złapaliśmy jego wspólnika, bandytę ostatniego rzędu, po którego ramionach ów morderca dostał się właśnie do waszego ogrodu.

Bardzo rubinowy nos portjera zbladł widocznie.

— Ależ trzeba w takim razie pomyśleć o tem, by go schwytać — zawołał, sięgając ręką do dzwonka. Lekok zatrzymał go jednak.

— Słówko jeszcze — powiedział — czy nie mogło się zdarzyć, że złoczyńca ten wymknąć się mógł z ogrodu, względnie pałacu, przez tę oto bramę?

— Niepodobieństwo. Po pierwsze dlatego, że z ogrodu do pałacu dostać się można przez przedsionek tylko, który w dniu przyjęć jest zawsze zamknięty, a następnie w bramie tej ja stałem nieprzerwanie, ponieważ książę zawsze mi to robić nakazuje w dniach przyjęć. Dziś również powtórzył ten rozkaz. Czy sądzisz pan, że go nie spełniłem może?

— Jeżeli tak — odpowiedział Lekok, ogromnie wyjaśnieniami temi uspokojony — to prawdopodobnie uda nam się schwytać tego ptaszka.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ROZGORYCZENIE

Dla E. M.

Życie? — codzienne o chleb zachody,
Ciągły — dla chleba — wytężony trud,
Tylko nieliczne chwile swobody,
I kilka tylko chwil radosnych złud.

Godzina płynie ci za godziną,
I dzień — bliźniaczy — mknie za każdym dniem,
Resztki młodzieńczych marzeń wnet zginą —
... Życie jest tylko niespełnionym snem.

Danuta Wyrybkowska.

CIESZĘ SIĘ

„Smutna Perełka." Słowa listu Pani sprawiły mi wielką przyjemność. Cieszę się, że pierzchł już smutek, a wrócił humor. Tak być powinno! Młodość nie powinna być szara i chmurna, lecz przeciwnie jasna i pogodna.

Załączone przez Panią pozdrowienia i uznanie za wierszyki dla „Ord-Oma" — przekazuję i równocześnie zapytuję się w imieniu Pani, czy „Ord-Om" jest z Rogoźna pow. grudziądzkiego, a jeżeli tak, wnoszę prośbę o skreślenie kilku słów do „Smutnej Perełki."

Kończąc, dziękuję serdecznie „Smutnej Perełce", „Kozaczkowi" i „Błękitnej Panterze" za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam.

DZIĘKUJĘ!

„Stelis." W pierwszym rzędzie dziękuję Panu w imieniu Wujka Janusza za moc pozdrowień, a następnie donoszę, że list zgodnie z życzeniem skierowałam pod należytym adresem.

INFORMACJA

„Boleczek." Chcąc nawiązać z kimś korespondencję, najlepiej przesłać list zaopatrzony odpowiednim pseudonimem, wraz z 25 gr znaczkiem na dalszą przesyłkę na moje ręce, a ja zkolei prześlę go dalej.

Po tej informacji sądzę, że będzie Pan wiedział, jak nawiązać kontakt z „Tęsknotą z Działdowa."

WARTO KORESPONDOWAĆ

„Ranny ptaszek z pod Torunia." Powyższy pseudonim charakteryzuje bardzo jego właścicielkę, która lubi codziennie wcześnie zrywać się ze snu — razem z ptakami, a nie znosi leniuchów. Pozatem jest bardzo wesołą dziewczynką, blondynką, średniego wzrostu, trzymającą się zasady: „grunt się nie przejmować." Ten, kto do Niej napisze, napewno się nie zawiedzie. Do dzieła więc, Drodzy Sympatycy! — „Ranny ptaszek" czeka na miły liścik!.

POZDROWIENIA

„Ola z wesołej Dwójki." Listy wysłane. Koleżankę Pani, „Dusieńkę", przyjmuję do „Krainy" z miłą chęcią. Zapewnie i do Niej ktoś napisze, zwłaszcza, gdy się dowie, że jest bardzo wesołą, zawsze uśmiechniętą młodą panienką, szatynką o dużych, niebieskich oczach, lubiącą ludzi sympatycznych.

Kończąc odpowiedź, dziękuję ślicznie „Oli", „Inie" i „Dusieńce" za pozdrowienia i pozdrawiam w ich imieniu: „Marynę" — „Tabu" — „Pella" — „Ny-czara" — „Ryśka Szczerego" — „Jot-Bora" i „Horda."

DLACZEGO?

„Złotemu Promykowi."

Dlaczego milczysz tak długo już,
Czy natchnień twoich przeminął czas,
Czy już na zawsze rzuciłeś nas,
Czy też odezwiesz się wkrótce znów?...

Czy może blask Twój, „Promyku", zgasł
I nigdy do nas nie wrócisz już?...
Wróć! Do „Krainy", choć jeszcze raz
I rzuć nam kilka radosnych słów.

„Zenia z lasów."

WIERSZYKI SŁABE

„Zenia z lasów." Wierszyki są wszystkie słabe. Chcąc jednak Pani zrobić przyjemność, oddaję do druku po poprawkach jeden z nich, poświęcony „Złotemu Promykowi." Dziękuję również za słowa uznania w imieniu zespołu redakcyjnego i swojem.

Zamiast apelu oddaję do druku część listu Pani:

„Jestem 19-letnią ciemną blondynką z długiemi warkoczami o piwnych oczach, wesołą i pełną życia. Kocham wszystko, co piękne i dobre, nadewszystko lubię marzyć na łonie przyrody, lub podróżować rowerem, tak szybko, że nie widzę nic dookoła siebie, tylko w uszach świst, a przed sobą wstęgę szosy. Hasłem moim jest: „Prawda naprzód, dobru służ!" Pragnęłabym za pośrednictwem „Krainy" nawiązać korespondencję. Kto do mnie napisze, temu odpowiem bezzwłocznie."

CZY JESZCZE SMUTNO?

„Głos z puszczy." Dzisiaj daję Panu odpowiedź na liścik, w którym żali się Pan, że nie otrzymuje długo odpowiedzi na swój list. O ile sobie przypominam, dawałam ją już w jednym z numerów „Moich Powieści", również pamiętam, że wysyłałam Panu kilka listów, sądzić więc mogę, że w obecnej chwili jest Pan zadowolony i nie narzeka już na brak „ciepłych słówek"? Zapewnie ma Pan ich teraz dość! Chętniebym się o tem chciała dowiedzieć, proszę więc nie zwlekać i nie czekać długo, lecz napisać mi długi i wyczerpujący liścik.

Nadesłany wierszyk nieaktualny i słaby.

W KLATCE...

Jeszcze mu czasem majaczą
upojne, gorące noce...
wtenczas o pręty skrzydłami
długo, bezsilnie łopoce.

Jeszcze mu czasem majaczy
pod senną, ciężką powieką
krzewów gęstwina, zielona
za oknem hen... gdzieś... daleko.

Cienie złotawej klateczki
na lśniące skrzydła się kładą.
Walczy ptaszyna bezsilnie
z czającą wokół się zdradą.

Wolno... cichutko... nieznacznie...
życie przeminie — przepłynie,
że wolność kiedyś istniała
Zapomni w szarym bezczynie.

„Ika."

WYRAZY UZNANIA I POZDROWIENIA DLA „LEŚNEJ RUSAŁKI"

„Ogrodnik." Zgodnie z życzeniem wysłałam list adresatce. Abonament „Moich Powieści" ma Pan uiszczony do sierpnia włącznie.

A teraz przekazuję „Leśnej Rusałce" w imieniu Pana pozdrowienia, oraz wyrazy uznania za trzeźwe zapatrywanie się na życie i jego przejawy.

Na zakończenie odpowiedzi ślę Panu serdeczne pozdrowienia i proszę do mnie pisać zawsze jak najobszerniej, bez obawy, że znudzę się długim listem.

MIŁE CHWILE MINĘŁY — POZOSTAŁA PAMIĘĆ

„Dziewczę z krainy burz." Trudno mi zapomnieć o tych kilku chwilach, wspólnie spędzonych. Już tyle dni upłynęło, a jeszcze tkwią mi żywo w pamięci i każą często myśleć o sympatycznej i bardzo, bardzo miłej Pani L.

Fotografją p. Kseni ucieszyłam się bardzo i dołączyłam ją do zbioru najmilszych zdjęć. Obecnie czekam na zapowiedzianą serję nowych zdjęć amatorskich.

Na zakończenie ślicznie dziękuję za okazaną mi serdeczność, ślę pozdrowienia dla Pani, p. Reni, Kuzyneczki z Ł. i Kseni. Proszę również pozdrowić moje znajome, rodzinne strony.

„VETO"!

Co to za wieść smutna
Me serce jak strzała przeszyła?
Na łamach Janusza Wujka
Wszystkim się zwierzyła
Nasza dobra Przyjaciółka,
Że nazwę swą zmieniła.
Szatę swą zrzucasz „Biała Uajali",
Dla nas tak drogą i znaną?
Czyżbyśmy Ciebie poznali
W inną maskę przybraną?
Nie odchodź od nas, Kochana,
Aby znowu przybyć niepoznana,
Jak w masce na balu,
Mniej cudnego blasku,
W jakiejś dotąd była;
Bo tamta taka wdzięczna, harmonijna, miła
I wszyscy ją tak znamy,
Że rozstać się z nią ochoty nie mamy.
A gdy uczynisz zadość mej prośbie,
Wówczas wesoło, radośnie,
Zawołam, aż echo w oddali
Tam gdzieś powtórzy stokrotnie:
„Vivat Biała Uajali!"

„Irek."

DOMYSŁY TRAFNE

„Irek." Domysły Pana są trafne. Winszuję spostrzegawczości. Zadania rozrywkowe proszę przesłać — zamieścimy! Wierszyk dołączony do listu pomimo, że posiada dużo braków, oddaję w całości do druku, gdyż pragnę, aby go przeczytała „Biała Uajali" i Jej Sympatycy.

BOGACTWO NIE DAJE SZCZĘŚCIA

„Żeni — niewolnica smutku" pragnie korespondować z Czytelniczkami i Czytelnikami na wszystkie tematy i w ten sposób odpędzić, rozproszyć smutek. Bardzo byłaby zadowolona, gdyby znalazł się ktoś z Warszawy czy Zakopanego i skreślił zaraz do Niej kilka słów. „Żeni" przesyła również pozdrowienia dla: „Białej Uajali" — „Samotnej Klaruty" — „Pomorzanki z nad Wisły" — „Orłowskiego Marzyciela" — „Jot-Bora" i „Podchorążaka."

A teraz jeszcze kilka słów dla „Żeni" ode mnie: Pisze Pani, że bogactwo odgrywa obecnie w świecie główną rolę... To nieprawda! Znam osobiście ludzi bardzo zamożnych, a pomimo to nieszczęśliwych i niezadowolonych z życia, a przeciwnie często spotykam ludzi biednych, bardzo biednych, ale uśmiechniętych zawsze i zawsze pogodnych. Dowód więc, że bogactwo szczęścia i zadowolenia nie daje. Przymioty te są zależne jedynie od nas samych. Mając zresztą zdrowie (największy skarb) i jak najlepszą opinję u ludzi, czyż trzeba koniecznie tonąć w smutku i czuć się nieszczęśliwą? Posłuchaj, co mówi nieznany mi bliżej poeta:

„Czyż złoto daje szczęście? Spojrzyjcie dokoła!
Ileż wesołego ubóstwa i błyszczącej nędzy;
Nie, nie zazdroszczę ludziom ich zbytku i blasku,
Nie zazdroszczę nikomu pozłacanej niedoli."

Cóż, smutna „Żeni" na to?

DLA RYMU...

Gdy ją pierwszy raz ujrzałem,
Pokochałem nad świat cały, —
Usta moje ją nazwały,
Ideałów ideałem.

Z twarzy błogo uśmiechniętej,
Tryska słodycz bezgraniczna —
Tyś, dziewczyno, taka śliczna,
Jak królewna z bajki święta.

Oczy jasne szczęściem płoną,
Słuch muzyką słowa poją,
Ty, dziewczyno, jesteś moją,
Ukochaną — wymarzoną. —

Pójdź, dziewczyno, w me ramiona, —
Tyś mi gwiazdą, co w noc błyska,
Usiądź tu przy mnie zbliska,
Bądź, jak róża zapłoniona. —

Na pierś połóż mi swą głowę, —
Pełne czaru i pieszczoty,
Daj aniele mój ty złoty
Usta świeże, purpurowe...

I pójdziemy poprzez życie,
Wciąż do siebie przytuleni,
Rozkochani, rozmarzeni,
Nić miłości wić w zachwycie! —

„Ord-Om."

KOMU ZALEŻY NA INTERESUJĄCEJ WYMIANIE MYŚLI?

„Szatyn 31." List Pana oddaję cały do druku. Ciekawam, jakie będzie jego echo.

„Szanowna Pani Zofjo! Już od samego początku jestem czytelnikiem tygodnika „Moich Powieści", w którym z zainteresowaniem śledzę „Krainę szczerości" i dobrych rad Pani Zofji.

Więc i ja również chętnie, jak i wielu innych, nawiązałbym korespondencję z jakąś szczerą duszką, która naprawdę potrafi patrzeć w życie z wielkiem optymizmem i której zależy na obopólnej wymianie myśli.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia Pani Zofji i dla miłych Czytelniczek i Czytelników „Krainy."

Szatyn 31."

KORESPONDENCJA

„Wesoły Stefek z Grudziądza" pisze, że jest przystojnym, ciemnym blondynem, średniego wzrostu. Chciałby nawiązać korespondencję z jakąś miłą i sympatyczną Czytelniczką „Moich Powieści."

Zapewnie niejedna rączka skreśli kilka słówek do wesołego i przystojnego chłopca, prawda?

Z PRZESZŁOŚCI

Kołysze się myśl ma po falach wspomnienia,
wzrok uporczywie w jeden punkt utkwiony.
Na czole chmury... gdzieś w kącie skulony —
zwołuję swe przeżycia... i liczę westchnienia.

Przed okiem zmęczonem — po ekranie pamięci,
przepływa ogrom dni dawno minionych,
Chwil szczęścia i łez... na zawsze straconych —
dni burzliwych jak fale — gdy je wicher zmąci.

I zda mi się nieraz — w tej grobowej ciszy,
gdy siedzę spowity w przeszłości kir czarny —
że ktoś za mną stoi — bicie serca słyszy...
Ale — to tylko sen... złudny, — koszmarny.

Te dni już nie wrócą z za mgły oddalenia,
przyjdzie może nawet po nich wspomnień zanik...
Żal — skuje bólem serce w zimny granit,
usta zamknie na zawsze pieczęcią milczenia.

„Biały Murzyn."

MAM NADZIEJĘ

„Goryl z Tucholi." Zapewnie wycieczka kajakiem do Bydgoszczy udała się doskonale? Mam nadzieję, że mi ją Pani dokładnie opisze w następnym liście?

Wujek Janusz był bardzo ucieszony, gdy się dowiedział o zamiarze przesłania mu wiewiórki, niestety, prezentów z zasady nie przyjmuję. Dziękuję jednakże za dobre chęci i przyrzeka kiedyś zjawić się na Pomorzu i zapolować w posiadłości ojczulka Pani, gdyż jest zapalonym myśliwym.

Za pozdrowienia dziękuję Pani i odwzajemniam je w równej mierze. Osobne ukłony od Wujka Janusza dla Pani i Jej Ojczulka.

NOWA SYMPATYCZKA W „KRAINIE"

„Mężne Serce." Podoba mi się dzielność Pani. Gdyby list był krótszy, oddałabym go do druku, aby go przeczytali wszyscy, a zwłaszcza ci słabi, niedołężni, którzy nie umieją sobie poradzić w życiu.

W celu rekomendacji oddaję wyjątek z listu Pani do druku:

„Zewnętrzne moje cechy niezbyt pozorne: średni wzrost, fundamentalna budowa, ciemne oczy i nieodstępnie kwitnący rumieniec. Zaś wewnętrzne cechy to stałość w uczuciach, żelazna wola, no i do pewnego stopnia marzycielskość. Przesyłam pozdrowienia wszystkim Sympatykom i Sympatyczkom."

SZCZĘŚCIE

Ty przyjdziesz do mnie,
gdy dusza moja popłynie z falą
wspomnień — — — —
Spłyniesz w ciszy złotawo-różowego wieczoru...
Na moje skronie złożysz dłonie —
miękkie, pachnące, kojące dłonie
i pocałunkami zamkniesz moje oczy.
Spłyniesz w ciszy złotawo-różowego wieczoru,
gdy zniknie ślad zorzy na nieboskłonie,
— aby się w płomień zamienić w mem sercu,
aby zatonąć w oczu mych roztoczy...
— i z duszą ściśle się zjednoczysz,
na zawsze zjednoczysz.
Spłyniesz w ciszy złotawo-różowego wieczoru.
Cichutko legniesz na kwietnym kobiercu,
kropelką rosy — — — —
Ty przyjdziesz do mnie
nagle, gdy złote gwiazdy się rozpalą,
z pól pachnących przyjdziesz i pachnące dalą...
Ty przyjdziesz do mnie — — szczęście.

„Jadźka z Kujaw."

BRAK ODPOWIEDNIEGO TOWARZYSTWA

„Wymarzona" przesyła mi liścik następującej treści:

„Chciałabym za pośrednictwem p. Zofji znaleźć jakieś bratnie serduszko, z którym mogłabym szczerze pogawędzić na różne tematy.

Jestem 19-letnią wysoką blondynką o dużych niebieskich oczach, bujnych włosach, o duszy tęsknej i serduszku, pełnym marzeń, kochającym wszystko co piękne, szlachetne i co kochania warte. Nadewszystko lubię kwiaty i muzykę, zwłaszcza smętne melodje. Choć mieszkam na wsi, w dość malowniczej okolicy, tęsknię bardzo za gwarem miasta, gdyż brak mi tu odpowiedniego towarzystwa, z którym mogłabym dzielić smutne i wesołe chwile życia. W tym właśnie celu chciałabym korespondować z którymś z Sympatyków. Zainteresowałam się bardzo „Blondynkiem w mundurku", „Podchorążakiem", „Pod oficerem", „Optymistą Sir" i „Czarnem Dominem z Torunia." Może który z tych Panów (nie wyłączam innych) skreśli do „Wymarzonej" liścik?"

PROSZĘ O PAMIĘĆ

„Maryla-D-wicz." Miło mi było przeczytać miłe słowa liściku Pani. Ujęły mnie do tego stopnia, że proszę o częstą pamięć.

Już wkrótce rozpoczynamy druk nowych powieści, które mam wrażenie, będą się ogólnie podobały. Krytyka Pani, przyznaję, jest słuszna, ale poziom czytelników jest różny, najlepszym dowodem, że niektórzy powieścią tą są zachwyceni. Biorąc to pod uwagę, zapewnie zrozumie Pani, dlaczego dajemy różne powieści.

Łączę wyrazy sympatji i serdeczności.

NA POŻEGNANIE...

P. *„Demonowi."*

Pierzchnął sen słodki, zostały marzenia,
Jakaś tęsknota na sercu osiadła...
Ktoś cicho szepce swoje zwierzenia...
I wyobraźni snuje malowidła.
Pocóż się łudzić próżną nadzieją?
Los nas doświadcza zbyt srogo,
Senne marzenia wiatry rozwieją,
Idźmy więc każdy swą drogą.

„Anita."

PROŚBA

„Zawiedziony" śle pozdrowienia: „Ptaszynie" „Poznaniance 22", „Hani", „Tęsknocie z Działdowa", „Marysieńce z loczkami", „Małej Lali", „Czarnej Perle" — prosząc wymienione Panie o skreślenie do Niego kilku słów.

Ogłoszenie zostało zamieszczone. Sprawę nieregularnego wysyłania „Moich Powieści" załatwiła administracja.

Za serdeczne pozdrowienia — dziękuję. Przesyłam ich Panu również moc.

Teczka Wujka Janusza

ZA CIĘŻKI RYTM

„Idealista Pałucki." Z przesłanych do oceny wierszy wybrałem do druku: „Polskie morze." Drugi wiersz posiada ładne myśli, ale za ciężki rytm, więc zgodnie z życzeniem odesłałem go do kosza. Mam wrażenie, że nie poprzestanie Pan na tych kilku utworach, ostatnio nadesłanych, lecz znowu coś napisze? Łączę miłe i serdeczne pozdrowienia.

POLSKIE MORZE

Zapatrzony w bezbrzeżną polskiego morza dal —
Wierzę w jego potęgę, w czarne, groźne wody.
Kocham cię, o morze! Kocham grzywy twoich fal,
Co pieszczą polskie brzegi, bronią nasze grody.

O morze, co pieśnią bałwanów radujesz serca,
Co falą swą oblewasz polskiej ziemi stopy —
Kocham cię, o morze, i modły z dusz kobierca
Tobie w ofierze składam pod niebieskie stropy.

O morze! — polskiego ludu jesteś potęgą,
Ty każdą falą głosisz światu naszą chwałę.
O morze, do ciebie na wieki serca przylgną,
Za ciebie damy krew, oddamy życie całe.

„Idealista Pałucki."

NIE NADAJE SIĘ

„Serce Wschodu." Wierszyk „Serce" umieszczę wkrótce, drugi: „Polak mały," — słaby. Mogłaby go Pani ewentualnie, po poprawieniu rytmu, posłać do jakiejś gazetki dla dzieci, gdyż do „Moich Powieści" absolutnie się nie nadaje.

Załączonego listu nie drukuję, gdyż dałoby to początek do częstszych tego rodzaju odezw. Radzę Pani go przesłać w kopercie, zaopatrzonej pseudonimem za pośrednictwem p. Zofji wprost Sympatykowi, o którego Pani chodzi.

Czy moja propozycja podoba się Pani? Chyba tak! Serdecznie pozdrawiam.

WIERSZE SŁABE

„Dusia." Wierszyki Pani otrzymałem. Prosi Pani o ocenę? Daję ją jak najchętniej, aczkolwiek niepochlebną:

Utwory Pani są pełne patosu, przesadnych porównań i górnolotności. Gdyby Pani pisała prosto, bez silenia się na kwiecistość, wiersze wypadłyby miło. Proszę pamiętać, że tematy, jakie Pani zastosowała do swoich wierszy są trudne do zobrazowania i należytego ich rozwinięcia, zresztą trzeba być bardzo zdolnym psychologiem i wszechstronnie wykształconym, chcąc pisać wiersze historyczne i filozoficzne.

Najlepiej niech Pani pisze bezpretensjonalnie, poprzestaje na dwóch, trzech zwrotkach, a mam wrażenie, że kiedyś wierszyk Pani ukaże się na łamach „Krainy" lub „Teczki."

Ślę serdeczne pozdrowienia i słowa zachęty do dalszej pracy.

DZIĘKUJĘ ZA FOTOGRAFJĘ I LIŚCIK

„Blanka." Nadzwyczaj ucieszyła mnie załączona do sympatycznego liściku fotografja. Dziękuję. Widzę, że Pani ślicznie się bawiła i dużo obcowała z słoneczkiem... bo nawet na zdjęciu jest Pani mocno opalona.

Powróćmy jednak do liściku. Czytając go, doznawałem miłych uczuć, bo każde słowo było wyszeptane dobrem, szlachetnem serduszkiem. Proszę, niech Pani pozostanie zawsze taką, jak jest i nigdy nie zmieni swoich zapatrywań. Człowiek dobry i pogodny nigdy nie będzie nieszczęśliwy, niech Pani to pamięta. Doświadczenia i smutki przyjmie zawsze z poddaniem i wyrozumiałością, zniesie je mężnie i wytrwale wiedząc, że nie ma na świecie nikogo, ktoby był wolny od cierpień.

Sprawę oceny wierszyków zostawiłem na sam koniec. Opinja o nich króciutka: słabe, choć szkoda, bo posiadają dużo szlachetnych myśli. Kiedy p. „Blanka" znowu napisze?

Raj kobiet

Nowe metody leczenia neurastenji

W Baltimore zyskała sobie ogromną popularność nowa metoda leczenia neurastenji i przedenerwowania. Wynalazcą tej metody jest osiadły od kilkunastu lat w Baltimore lekarz-rosjanin dr. Torkij.

Na czem polega nowy system leczenia? Oto jak wygląda on w relacji pism amerykańskich. Każdy zwolennik systemu dr. Torkij musi dwa razy na tydzień asystować na seansach wieczornych. Podczas seansów obowiązuje ścisłe milczenie. Obecni zasiadają w wygodnych fotelach klubowych.

Po wyłączeniu kontaktu w pokoju zapala się bladoniebieskie światło, a stojące w kącie fisharmonje odzywają się przytłumionym akordem złożonym z 3 nut. Trwa to bez zmiany i przerwy całą godzinę i nosi nazwę poetyczną „Cichej godziny".

Członkowie klubu, a zarazem pacjenci dr. Torkij twierdzą, że cisza, światło stłumione i dźwięk fisharmonji wpływają uzdrawiająco i dobroczynnie na stan ich nerwów. Dr. Torkij nie uzasadnia i nie motywuje bynajmniej naukowo swojej metody; twierdzi, iż wystarcza mu obserwowanie zbawiennego wpływu „Cichej godziny" na rozstrojone nerwy pacjentów.

„Cicha godzina" zdobywa sobie dzięki „głośnej" reklamie ogromne powodzenie w całych Stanach i dzisiaj posiada już dr. Torkij filje swojej centrali baltimorskiej w siedemdziesięciu dwuch miastach, pacjentów liczy mnogie tysiące.

Co jest niezwykłe w tej imprezie, jak na stosunki amerykańskie, to fakt, iż korzystanie z „Cichej godziny" nie kosztuje ani centa! Dr. Torkij jest idealistą, nie pobiera żadnych honorarjów, a nowe filje otwierają na własny koszt entuzjastyczni zwolennicy mistrza i głosiciele jego sławy.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Tak proszę ja państwa nie można. Zawsze zaznaczałem, że u nas nic się nie udaje i znowuż to samo przytwierdzić muszę. Czyta się w gazetach ciągle: W Londynie gorąco jak w piekle, 4 zimnych Anglików zapociło się na amen, w Ameryce to samo, ludzie na ulicach się przewracają, nawet w takiej Palestynie starozakonne wojsko podobnież nie może manebrów robić, bo słonecznego porażenia dostaje, i kitę odwala całemi tuzinami.

A u nas co? Jak się kto na ulicy przewróci, to albo mu ktoś dał w giembę, albo podgazowany. O trupach wogóle niema mowy, zakłady pogrzebowe plajte robią jeden za drugim.

I jak się tu kto ma z nami liczyć, jakie możem mieć znaczenie w Lidze Narodów, — żadnego.

Takżesamo nie ma mowy o tem, żeby się opalić. Moja żona miała życzenie, żebym sobie twarz trochę na słońcu przyrumienił, bo mówi, że za blady jestem i jak wracam w nocy do domu, to myśli zawsze że nieboszczyk wujo z cmentarza straszyć ją przychodzi, bo mu nie zdążyła przed śmiercią 5 złotych pożyczonych oddać.

Ja jej mówie: „Żonusiu, bój się Boga przedewszystkiem wujo forsy nie potrzebuje, bo i tak na tamtym świecie wódki mu nigdzie nie sprzedadzą, a zresztą nie trafiłby do nas, bo jak ci wiadomo w pijanym stanie na wieczny odpoczynek się udał."

Ale kto to babę przegada, uparła się i nic „tylko się przyrumień". Ano mówi się trudno, wziąłem kilo masła, tartej bułeczki za dziesiątkie i poszłem, na ksiuty, w krzaki, nad rzekę.

Nasmarowałem sobie oblicze, posypałem bułeczką i rumienię się jak jendyk na Wielkanoc, a nogi moczę w wodzie — żebym porażenia nie dostał.

Leżałem tam cały dzień, wieczorem się budzę, patrzę w lusterko. Blady jestem, że wujo wygląda przy mnie jak kolega Zdzisiek kiedy z nad polskiego morza wrócił. Zato nogi mnie pieką jak nieszczęście, okazało się, że przez omyłkę zamiast twarzy kopyta sobie posmarowałem, a łeb trzymałem w wodzie.

Zmartwiłem się bardzo, ale znajomy szoferak jeden powiedział mnie, że nic tak nie opala jak wiater na szosie i że mnie przewiezie motocyklem, co go jego szwagier ma w reperacji.

Poszliśmy do tego szwagra, szoferak siada na siodełko, a ja właże do koszyka i jadziem.

Przejechalim ze trzy kilometry, a ze mnie pot się leje jak z fontanny i powietrza złapać nie mogę, zganiany jestem jak żydowski koń.

Co jest, myśle sobie.

Patrze na dół i widzę, że w tem wózku podłogi niema i ja na piechotę ganiałem jak głupi. — Od tej pory nie chce się opalać i jak mnie kto coś podobnego preponuje odrazu biere butelkę od piwa za szyjkę i faceta krzywdzę.

Jeden doktór mówił, że nie każden człowiek może się opalić, ma to zależeć od organizmu.

Miał rację. Ja widocznie nie mogę i dlatego na siłę za murzyna się robić nie będę, bo mnie to może zaszkodzić.

O wystawianiu kwiatów na dwór

Trzymanie roślin w pokoju jest bądź co bądź gwałtem zadanym naturze w imieniu estetyki naszych mieszkań i uczynienia z nich przyjemnego schronienia. Oczywiście nienormalne te warunki muszą się w mniejszym lub większym stopniu na roślinach odbić, to też dążeniem każdego hodowcy roślin pokojowych, bodaj od połowy maja do połowy września dostarczyć warunków jaknajbardziej naturalnych. Dlatego też, gdy można, należy ustawiać rośliny na otwartem powietrzu — w ogrodzie, na balkonie lub w ostateczności na parapecie słonecznego okna.

Tylko bardzo niewiele roślin, jak wszystkie paprocie, asparagusy itp. rośliny o delikatnych liściach nie potrzebują takiego letniska, ale i te powinny wciągu lata być ustawione w pokoju, do którego słońce i powietrze ma wolny dostęp.

W ciągu lata trzymane na dworze rośliny nabierają zdrowia i czerstwości, które im pozwolą skutecznie walczyć przeciw wielu plagom pokojowych roślin: jak suchość powietrza, zbyt wysoka temperatura mieszkania, kurz itp. oraz przeciw pasorzytom, które w tych warunkach znajdują podatne podłoże do swego rozwoju.

Nie należy zapominać, iż zima jest dla roślin pokojowych bardzo ciężka i wytrzymują ją tylko silne egzemplarze. Inne marnieją, tracą barwę i wogóle zamiast zdobić oszpecają nasze mieszkanie.

Dlatego też nie należy sobie lekceważyć letnich wywczasów naszych pupilów. Przedewszystkiem trzeba sobie obmyślić dla nich odpowiednie miejsce. Najlepiej temu celowo odpowiada słoneczna grządka, osłonięta od północno zachodnich wiatrów drzewami lub budynkami. Pod żadnym pozorem nie należy jednak, jak się to często widuje, ustawiać roślin pod koronami drzew.

Ustawiając rośliny na balkonie lub tarasie, dobrze jest sporządzić sobie dla nich rodzaj schodków drewnianych. Muszą one być tak silnie zbudowane, aby się nie chybotały. Posiadanie takich schodków pozwala na stosunkowo niewielkiej przestrzeni zmieścić dużo doniczek.

Gdy umieszczamy kwiaty na parapecie okiennym, zawczasu trzeba pomyśleć o zastawkach, zabezpieczających doniczki od spadnięcia, któreby mogło być nietylko zagładą dla rośliny, ale i powodem poważnych wypadków. Przed wystawieniem roślin na dwór należy je przez kilka dni hartować i pod żadnym pozorem nie wystawiać odrazu na palące promienie słońca, gdyż mogą one zniszczyć roślinę całkowicie. Specjalnie wrażliwe na to kwiaty okien północnych, jak filodendrony, fikusy, i aspidistrje, palmy, draceny itd. Zanim rośliny wyniesione z mieszkania wystawimy na słońce, trzeba je przez 4—6 dni przetrzymać w cieniu pod murem, aby do wolnego powietrza przywykły.

Wynosząc rośliny na dwór, trzeba z niemi zrobić porządek — umyć je, aby oswobodzić pory liści z kurzu, dać mocne paliki, i starannie poprzywiązywać do nich wiotkie gałązki w kilku miejscach, nie żałując rafji czy miękkich szmatek. Zebrać wierzchnią warstwę ziemi i zastąpić nową pożywną; sprawdzić czy wszystkie doniczki mają skorupki odpływowe itp.

Doniczki zagłębiamy w piasku, aż po wręby. Pod każdą z nich robimy grubym, ostro zakończonym trzonkiem głęboki lejowaty otwór. Chodzi tu o to, aby między doniczką, a gruntem wytworzyła się próżnia. Próżnia owa przedewszystkiem zapobiega zalaniu roślin, bo woda ma odpływ; zapewnia dostęp powietrza do korzeni.

Pozatem gdybyśmy doniczki ustawili wprost na ziemi, to korzenie by się z niej otworem drenowym wydostały i zaczęły rosnąć wprost w ziemi. Jesienią zaś, gdy roślina musi wrócić pod dach, musiałyby ulec obcięciu, co skolei osłabiłoby kwiat. Rośliny na grządce umiesz cza się pionowo i, gdy potrzeba, przywiązuje się je jeszcze do mocnych kołków wbitych głęboko w ziemię. Całości ze względów estetycznych nadaje się postać skupiny. Pośrodku umieszcza się egzemplarze najwyższe, a od brzegu coraz niższe.

W odpowiednim miejscu umieszczone rośliny wymagają od nas bardzo niewiele.

Trzeba je tylko często podlewać, pamiętając, że ziemia na powietrzu jeszcze szybciej paruje, niż w mieszkaniu. Po każdej burzy czy wichurze należy stan roślin sprawdzić i wszystkie uszkodzenia natychmiast poprawić. Zeschłe, lub marnujące się liście trzeba usuwać, jak również obcinać przekwitłe kwiatostany.

Co słychać w polityce?

Wchodzimy powoli w okres jesienny. Wprawdzie to jeszcze lato, ale tylko kalendarzowe. Aura od dłuższego już czasu jest nawskroś jesienna, i jeżeli można wyciągnąć jakiekolwiek wnioski z pogody dotychczasowej, to jesień tegoroczna daleka będzie od słonecznego ideału. Nietylko zresztą w przyrodzie. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że sezon jesienny obfitować będzie w wielkie, doniosłe wydarzenia na arenie polityki europejskiej i światowej.

—o—

Wielki sezon jesienny rozpoczął się właściwie już w piątek 16 bm. konferencją trzech mocarstw w Paryżu, która ma na celu znalezienie kompromisowego rozwiązania zatargu włosko-abisyńskiego w oparciu o traktaty i porozumienia mocarstw z 1906 r., 1925 i 1928 roku. Konferencja ta ledwie rozpoczęta natrafia już na tak poważne trudności, że osiągnięcie porozumienia wydaje się jeżeli nie całkowicie wykluczone, to w każdym razie bardzo mozolne.

Z drugiej strony, dla Anglji kwestja pokojowa zlikwidowania sporu włosko-abisyńskiego jest kwestją podstawową. Dopuszczenie do zaburzeń wojennych w tej części Afryki, stanowiącej pozycję kluczową imperjum brytyjskiego, grozi zbyt poważnymi powikłaniami, które odbić się musiałyby również na terenie europejskim.

Być może, że Włosi w ostatniej chwili zgodzą się na pewien kompromis, odpowiadający ich interesom, trudność leży w tem, że dotychczas kompromisu takiego nie wysunięto.

—o—

Zawsze ilekroć razy wspomniemy o morzu, kieruje się wzrok nasz ku naturalnej naszej bramie na Bałtyku ku Gdańskowi. Jak pisaliśmy w ostatnim przeglądzie politycznym, Gdańsk ugiął się przed zdecydowanem stanowiskiem Polski i wyraził zgodę na cofnięcie bojowych, przeciwko Polsce skierowanych zarządzeń, poczem miały być podjęte rokowania polsko-gdańskie. Mimo, że od tej chwili upłynął już tydzień, rokowania te podjęte nie zostały. Gdańsk zwleka. Tymczasem prasa obozu rządzącego w Gdańsku przyjmuje wobec Polski coraz bardziej buńczuczny ton. Komuś trzeciemu zależy na utrzymaniu tego najczulszego punktu stylu interesów polsko-niemieckich w stanie zapalnym. Za kulisami sprawy gdańskiej przygotowuje się sprawa, — rozgrywka polsko-niemiecka, do której mimo wszystkie pakty, porozumienia czy jak to tam nazwać, idziemy.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 25. VIII. do 31. VIII. 1935 r

Niedziela, dnia 25 sierpnia 1935 r.

8.30 Audycja poranna 9.02 Muzyka 9.50 Pogadanka sportowo-turystyczna 10.00 Transmisja Nabożeństwa 12.03 W kraju dawnych Jadźwingów 12.20 Poranek muzyczny. W przerwie fragment słuchowiskowy p. t. „Safanduły", Wiktora Sardou. 14.00 Muzyka salonowa 14.57 Wiadomości meteorologiczno-rolnicze 15.00 Nasza hodowla koni — pogadanka 15.10 Muzyka 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Słuchowisko wiejskie 16.00 Utwory na theoli 16.15 Audycja muzyczna 16.45 Szkic literacki 17.00 Koncert 18.00 Transmisja z Obozu w Truskawcu 18.15 Muzyka francuska 18.30 Cała Polska śpiewa 18.45 Granica Polsko-Sowiecka „Nad Zbruczem" 19.10 Koncert 19.25 Muzyka salonowa 19.50 Życie angielskie bez różowych okularów 20.00 Koncert 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Tańce 18 i 19 wieku" 21.30 Na wesołej lwowskiej fali (ze Lwowa) 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 Nasza marynarka gra 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 26 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Wiadomości meteorologiczne i Dziennik południowy 12.15 Koncert Małej Orkiestry P. R. 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka wokalna 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert muzyki salonowej 16.00 Audycja dla dzieci 16.15 Koncert solistów 16.50 Codzienny odcinek prozy 17.00 Recital fortepianowy 17.25 Muzyka 18.00 Odczyt z cyklu Z świata wielkich i drobnych wynalazków 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Audycja literacka 19.50 Szkic literacki 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Lekkie piosenki 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 27 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.05 Dziennik południowy 12.15 Muzyka salonowa 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert w wyk. Orkiestry Wojskowej 16.15 Mussorgski-Ravel: Obrazki z Wystawy 16.50 Codzienny odcinek prozy 17.00 Koncert w wyk. wileńskiej Ork. kameralnej 18.00 „Ptasie mleko" pogadanka 18.10 Wiersz Jerzego Liberta 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka techniczna 18.40 Życie artystyczne i kulturalne stolicy 18.45 Muzyka 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Duet wokalny — piosenki płyty 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Kapela Kujawska 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Muzyka lekka — piosenki kabaretowe 21.30 Koncert 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Mała Orkiestra P. R

Środa, dnia 28 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka wokalna 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert 16.00 Pogadanka dla kobiet 16.15 Muzyka taneczna 16.50 Codzienny odcinek prozy 17.00 Koncert kameralny 17.25 Recital skrzypcowy 18.00 Wesoły skecz 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Pogadanka dla dzieci 18.40 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Ulubione melodje z filmów dźwiękowych 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Piosenki w wykonaniu Tadeusza Faliszewskiego 19.50 Reportaż z cyklu „Samoloty i ludzie" 20.00 Pogadanka Łowiecka 20.10 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Przegląd humoru zagranicznego 21.40 Pieśni polskie 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała orkiestra P. R.

Czwartek, dnia 29 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Wiadomości meteorologiczne i dziennik południowy 12.15 Muzyka symfoniczna 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Utwory fortepianowe 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Zespół kameralny 16.00 Audycja dla dzieci młodszych 16.15 Pieśni ludowe 16.30 Sonata e-moll J. Bramhsa 16.50 Codzienny odcinek prozy 17.00 Koncert Orkiestry 18.00 Książka i wiedza 18.10 Wiersz Jana Kasprowicza 18.15 Wiązanka pieśni śląskich w wyk. Chóru Kolejarzy 18.30 Dokąd jechać w święto 18.45 Muzyka lekka 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Fantazje operetkowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Pogadanka rolnicza 20.10 Koncert w wyk. Małej Orkiestry 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Koncert skrzypcowy 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje operetkę Genégo p. t. „Wróg muzyki" 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Piątek, dnia 30 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Wiadomości meteorologiczne i dziennik południowy 12,15 Koncert w wyk. ork. wojskowej 13.00 Chwilka dla kobiet 12.05 Muzyka niemiecka 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Pogadanka 16.15 Piosenki włosko-hiszpańskie 16.35 Pogadanka dla chorych 16.50 Codzienny odcinek prozy 17.00 Recital skrzypcowy 17.30 Pół godziny walców 18.00 Najpogodniejsze pogranicze 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Koncert wieczorny 19.15 Koncert reklamowy 19,30 Trio fortepianowe 19.50 Aktualny monolog 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Lekkie utwory fortepianowe 20.35 Stefan Witas śpiewa piosenki 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Koncert symfoniczny muzyki rosyjskiej 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Sobota, dnia 31 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12. 03 Wiadomości meteorologiczne i dziennik południowy 12.15 Koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Fantazje operowe 14.30 Nowości z płyt 15.25 „Nasz handel morski" 15.30 Słuchowisko dla dzieci 16.00 „Skrzynka techniczna" 16.15 Pieśni 16.35 Polskie tańce ludowe 16.50 Codzienny odcinek prozy 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — Koncert 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Wiersz Konstantego Gałczyńskiego 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka lekka 19.15 Koncert reklamowy 19.30 Nasze pieśni 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Koncert 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Swiat duchów w przyrodzie koncert 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 „Frontem do wsi" Lekka audycja literacko-muzyczna 22.30 Koncert.

CHWILA ZASTANOWIENIA

I.

REBUSY LITEROWE

```
        aż  aż  aż  aż
        aż          aż
NIE     aż    I     aż     czy    a
             ---                 ---
              Z                   j
        aż          aż
        aż  aż  aż  aż
```

II.

```
ar   ar   ar   ar   ar
ar      TA        ar
     ---------
ar   ar   ar   ar   ar
     ar   ar   ar
ar   ar   ar   ar   ar

ar   ar   ar   ar   ar
```

Do odczytania 6 wyrazów.

SZARADA

ul. W. M.

Pierwszą czwarta w morzu się znajduje,
Trzecia czwarta, też przypływa z prądem.
Czwarta druga inaczej — daruje
Całość, części kraju jest zarządem.

Za rozwiązanie powyższych zadań, redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 30 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 32 „Moich Powieści": **Logogryf:** Teresa, Emilja, Regina, Ewunia, Sylwja, Aniela. **Bilety wizytowe:** Kosiarz, młynarz.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali p. p.: Fred Kalwiński, — Katowice, Jola Pinkówna — Białobrzeg, Artur Sadzki — Jarocin, „Ka-Jot", Wacław Bultrowicz — Gniezno, M. Grajek — Bzowo, Helena Rogaczówna — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Helenie Rogaczównej z Bydgoszczy i „Ka-Jotowi".

Ze świata

Filmy ze świata radjowego

Anglja wyświetlała niedawno pierwszy film, oparty na tematach radjowych, obecnie zaś w Hollywood montują film pod tytułem „Wielka audycja", rozgrywający się na tle środowiska radjowego. Oprócz gwiazd filmowych udział biorą popularni speakerzy amerykańscy.

Cała Francja chce mieć radjo w taksówkach

Wobec wielkiego powodzenia, jakiem się cieszą w Paryżu radjoodbiorniki zainstalowane w taksówkach, szereg większych miast francuskich, jak Marsylja, Lyon, Bordeaux itp. idzie śladem Paryża i prawdopodobnie ruch ten rozszerzy się na całą prowincję francuską.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

50)

Minęło już lato, — zbliżała się jesień przynosząc Paryżanom pewne rozczarowanie. Zamiast pięknych zwykle dni jesiennych, srożyły się wielkie zawieruchy nad całą Francją, ostry wiatr hulał po ulicach paryskich, — wcześniej niż zwykle powiędły liście, unosząc się w powietrzu przy każdym podmuchu. Stan pani Haler pogorszył się znacznie z nastaniem tej ostrzejszej pory roku.

Jednego dnia, — gdy Anielcia czytała właśnie staruszce książkę a syn jej ordynował w swoim pokoju, — dostała pani Haler tak gwałtownego ataku, że zdawało się lada chwila zakończy życie.

Młoda dziewczyna, drżąc na całem ciele, pobiegła na piętro, wzywając pomocy syna. Doktorowi udało się wprawdzie poskromić napad i zażegnać niebezpieczeństwo, zauważył jednak, że stan chorej tą razą znacznie się pogorszył.

Pani Haler musiała pozostać w łóżku przez dłuższy czas, w czasie którego Anielcia otaczała ją jak najstaranniejszą opieką.

Nie odstępowała ani na krok chorej, — podawała jej lekarstwa, poprawiała poduszki, przesuwając je na tę to na ową stronę, celem złagodzenia ataków duszności.

Jeżeli zaś chora czuła się nieco lepiej, wtedy Anielcia czytywała jej książki, lub robiąc ręczne roboty, zabawiała ją wesołą rozmową.

Z podziwieniem patrzał doktor Haler na tę anielską istotę, — serce Henryka z każdym dniem wzbierało coraz większą skłonnością, którą odczuł już wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzał na tę śliczną dziewczynę.

Z przestrachem wspomniał tę chwilę, kiedy przyłożył był nóż sekcyjny do dziewiczej piersi Anielci, — i w głębi duszy dziękował często Bogu za szczęśliwą myśl, że to nie trup, lecz żywe ciało.

Żałował, że fortuna nie obdarzyła go swoimi względami i nie zezwoliła mu na zebranie chociażby małego kapitaliku. Czy mógł ofiarować swoją rękę Anielci, znajdując się w tak skromnem położeniu, — i zapytać ją, czy zechce dzielić jego losy? Był zanadto ubogi i za poczciwy, by wiązać ze swoją nędzą los młodego, pięknego dziewczęcia, które przy boku innego mogło jeszcze osiągnąć pełne szczęście.

A jednak! — Na myśl, że jednego dnia opuści go może Anielcia, że nie będzie więcej spoglądał na to słodkie oblicze i nie słyszał tego srebrnego głosu, lub że inny, nie, to nie powinno nastąpić, — o tem był przekonany. Anielcia musi zostać i należeć tylko do niego, — i w najbliższej przyszłości stać się jego jedyną, ukochaną żoną.

Jednego dnia zaszła pewna okoliczność, która zdawała się wywrzeć korzystny wpływ na nadzieje młodego lekarza.

Stan pani Haler polepszył się znowu nieco, skutkiem czego nie była zmuszona leżeć w łóżku. Siedziała właśnie z Anielcią przy nakrytym stole; obie kobiety nie jadły jednak, oczekując powrotu doktora.

W tem otwarły się drzwi, w których ukazała się postać Henryka. Jego piękne oblicze ozdobione jasną brodą, nie mogło ukryć żadnej myśli, odbijającej się na wysokiem czole. Dlatego staruszka zauważyła natychmiast, że musiało się stać coś nadzwyczajnego, coś co zwiastowało pomyślną wiadomość.

„Henryku!" zawołała pani Haler, spiesząc naprzeciw syna, „co się stało, najdroższy? — Mów i pozwól mi wziąć udział w twojej radości!"

„Szczęście, matko!" odparł młody lekarz, obejmując swoją matkę i spoglądając równocześnie poza nią na Anielcię, „szczęście uśmiechnęło się do mnie! Droga matko, przygotuj się na wielką radosną nowinę. Przyrzeknij mi jednak, że się nie przestraszysz, — i że potrafisz opanować wszelkie wzruszenie?"

„Nie, mój synu", przemówiła sędziwa dama, „z pewnością nie, — jestem spokojna, — mów, — co się stało?"

„Właściwie nie powinienem robić tyle zachodów", ciągnął dalej spokojnie Henryk, „gdyż nie stało się znowu nic tak niezwykłego. Przypominasz sobie, mateczko, że w ostatnich miesiącach pracowałem bardzo dużo, — i sama łajałaś mię często, że spędzam całe noce nad książkami. Dzisiaj mogę ci wyznać całą prawdę, — napisałem artykuł p. t. „O chorobach umysłowych", podając w nim kilka nowych sposobów leczenia tych nieszczęśliwych. Nie wiedząc sam dobrze, co z tem począć, posłałem moją książkę do jednego bardzo poczytnego tygodnika."

„No i?" zapytała z ciekawością matka.

„Tygodnik umieścił moją pracę i zwrócił na mnie uwagę szerszych kół. I dzisiaj, droga matko, otrzymałem list od jednego z najsłynniejszych profesorów dla chorób umysłowych, w którym zaprasza mię do siebie."

„Byłeś już pan u niego?" — zapytała nagle Anielcia.

„Właśnie wracam stamtąd!" — odparł Henryk. „Cieszcie się ze mną, moi najmilsi, — przede mną otwiera się świetna praktyka, która nawet już się rozpoczęła.

„Lecz, droga matko", mówił dalej po małej pauzie, „celem ustalenia mojej sławy, jestem zmuszony opuścić was na krótki czas, — na dwa tygodnie."

„Jakto, drogi synu", zawołała pani Haler, „odjeżdżasz?"

„Muszę, mamo", odparł Henryk, „rozchodzi się o niezwykły wypadek, który, jak sądzę, przyniesie mi nietylko pieniądze, lecz co ważniejsza, wielką sławę. Profesor Courtenois, który mię zawezwał, przyjął mię nadzwyczaj uprzejmie i łaskawie, obsypał mię pochwałami, nazwał śmiałym badaczem na polu wiedzy lekarskiej i przepowiadając mi wielką przyszłość, zapytał, czybym nie zechciał spróbować moich sił w jednym ciężkim wypadku. Odpowiedziałem naturalnie, droga mateczko, potakująco. Wtedy objaśnił mię profesor, że pacjentka, o którą się rozchodzi, znajduje się nie w Paryżu, lecz w Niemczech, wobec czego będę zmuszony wybrać się w drogę. Jednak zapewnił mię, że osoba, u której znajduje się owa nieszczęśliwa, wynagrodzi mię po królewsku.

„Dowiedziawszy się, że muszę jechać", — mówił dalej Henryk, — „chciałem w pierwszej chwili zrzec się, przypomniawszy sobie twoją słabość. Słysząc jednak o tak wspaniałem wynagrodzeniu, ogarnęło mię nagle gorące pragnienie, bym mógł otoczyć cię większemi wygodami, aniżeli dotąd. Podróż na południe ulżyłaby ci znacznie, lecz dotychczas było to niemożebne z braku pieniędzy. — Jadę więc na czternaście dni do Niemiec do tej obłąkanej, — a za moim powrotem pojedziesz razem z Anielcią na południe, gdyż wtedy będziemy mieć dużo pieniędzy. Teraz pozwól, że się pospieszę z jedzeniem, ponieważ muszę się jeszcze udać do jednego pana, celem zasięgnięcia bliższych informacji. Profesor Courtenois dał mi polecającą kartę do niego — oto jest, patrz."

Mówiąc to wyciągnął małą kopertę, opatrzoną adresem.

„A to będzie zapewne nazwisko pana", zawołała staruszka, — „droga Anielciu, przeczytaj mi nazwisko, bo nie mam przy sobie okularów."

Anielcia wzięła z ręki pani Haler kopertę, zawierającą list profesora, — podeszła do okna, przez które wpadały blade promienie listopadowego słońca, zwróciła oczy na papier, który trzymała w ręce, — lecz w tym momencie zachwiała się, — jej ręce poczęły drżeć, — zamknęła oczy, jakby dostała nagle zawrotu głowy na widok bezdennej przepaści.

„Czytaj", przemówiła matka lekarza, „czyżby nazwisko było tak trudne do wypowiedzenia?"

„Bardzo trudne", wyszeptały usta Anielci, poczem odpowiedziała cichym głosem:

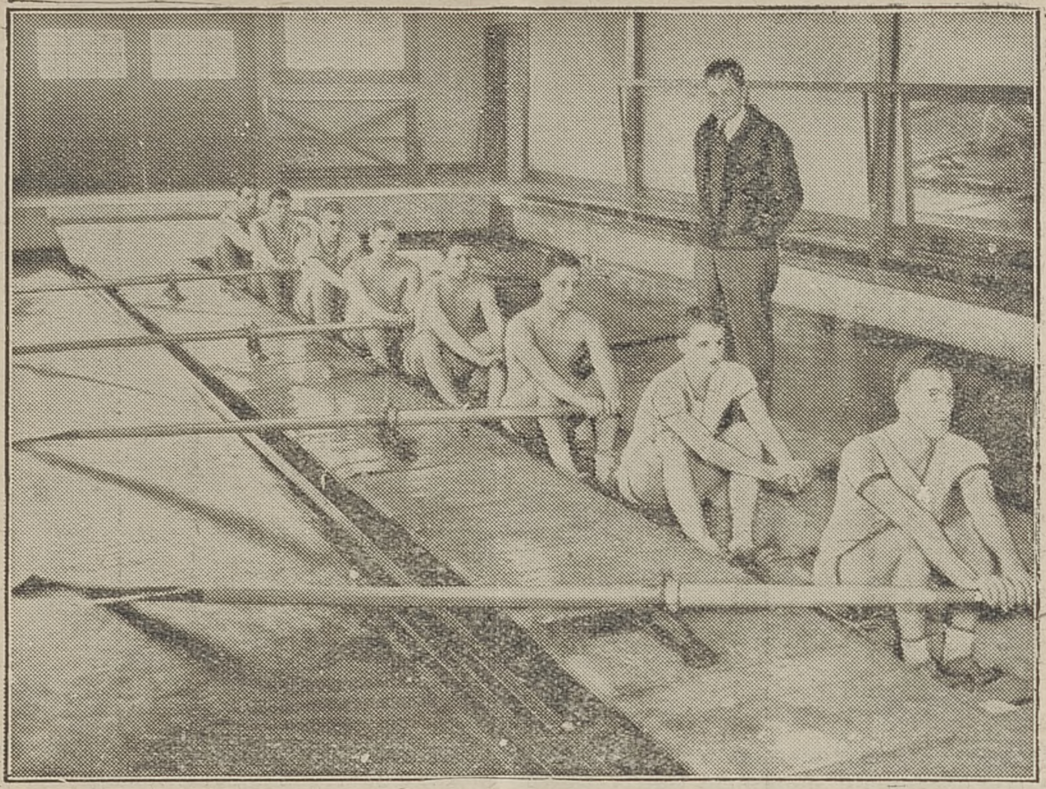
„List ten jest adresowany do — hrabiego Zygmunta Sokolskiego!"

Na widok tego nazwiska stanęła nagle przed oczyma Anielci cała niedola jej losu. Zdawało się jej, jakby nagle jaskrawa błyskawica przecięła mgłę przysłaniającą boleść, oświetlając wszystkie zakątki i głębie potarganej duszy.

Hrabia Zygmunt Sokolski, — to był ojciec Loli, — a Lola żoną tego, którego kochała, — jeszcze teraz, — pałając żywszą i potężniejszą miłością do niego, aniżeli dawniej.

Anielcia widziała siebie w tej chwili w pokoju Loli, w pałacu hrabiego Zygmunta Sokolskiego, — jak stała cicho przy oknie zasłonięta jedwabnemi portjerami. Widziała Lolę w ślubnej sukni, z wieńcem mirtowym na głowie, — i w tej chwili wstąpił, oczekiwany przez Lolę z taką tęsknotą, narzeczony, który ją miał zaprowadzić do stopni ołtarza; — a, słońce przestań świecić, ziemio rozstąp się, — to był Kazimierz!

„Anielciu, — Anielciu, co ci brakuje?" zawołał doktor Haler, spiesząc ku pięknej dziewczynie, która z trupią bladością opadła na krzesełko stojące pod oknem. „Anielciu, na Boga, co się pani stało? Omdlenie, — matko, wody, — czemprędzej wody!"



W związku z zbliżającą się Olimpjadą, wioślarze całego świata pilnie trenują i sposobią się do zawodów.

O ile pozwalały na to nogi, wybiegła z pokoju pani Haler, by przynieść wodę. Henryk ujął delikatne ręce Anielci i z głębokiem zaniepokojeniem spoglądał na to blade, słodkie oblicze i na zawarte oczy. Zniżył się i przyłożywszy ucho do jej dziewiczej piersi, posłyszał z radością miarowe bicie serca.

„Anielciu, Anielciu, obudź się!“ proszącym głosem mówił do niej, zgarniając jej ciemne pukle włosów z czoła.

I gdy tak na nią patrzał, bladą, a w tej bladości właśnie tem piękniejszą w całym majestacie czaru nim bezwiednie owładającego, — nie mógł się oprzeć pokusie, — pochylił się nad bezprzytomną i złożył na jej ustach nie namiętny, lecz pełen niemego podziwu i uwielbienia pocałunek.

Brzęk szkła dał się słyszeć za nim, — przestraszony, jakby na złym uczynku przyłapany, Henryk odwrócił się.

Stanął oko w oko przed matką, która ze zdziwienia upuściła szklankę na ziemię.

„Henryku“, rzekła matka głosem przyciszonym, z którego jednak prócz zdziwienia, jakby tajona radość przebijała, „Henryku, — co to ma oznaczać?“

„Oznaczać ma to, najdroższa mamo“, rzekł Henryk wzruszony, „że niebawem zamkniesz ukochaną córkę w ramiona, — że będę najszczęśliwszym z ludzi, gdy ta będzie do mnie należała i będę ją mógł zwać przed całym światem moją najukochańszą małżonką! — Nieprawdaż, mamo, że i ty kochać ją będziesz, — kochasz ją już teraz! — Mamo, — mamo, — wstaw się u niej za mną.“

Pani Halerowa objęła ramionami swego jedynaka, przycisnęła do piersi i rzekła:

„Błogosławioną niechaj będzie ta chwila, — błogosławione niechaj będą twoje zamiary, — gdybyś ty wiedział, jak ja się cieszę, — nie znam żadnej godniejszej dla ciebie, nie znam żadnej, którąbym z równą radością jako córkę powitać mogła.“

„Cicho, budzi się, — to było tylko przemijające osłabienie“, — pokazując na Anielcię, która pomału otwierała oczy.

Widząc trwożne miny tych dwojga poczciwych ludzi tuż przy niej stojących, podniosła się, mówiąc:

„To nic, — to było tylko przemijające osłabienie, — oto koperta, panie doktorze, — proszę ją znowu wziąć do siebie.“

„Rzeczywiście, panno Anielciu“, rzekł Henryk, „nie jestem przesądny, ale bodaj czy podróż moja odniesie pomyślny rezultat, wobec tego, że rzuciwszy poraz pierwszy okiem na nazwisko właściciela zamku, do którego się mam udać, zemdlała. Miałożby ci nazwisko hrabiego Zygmunta Sokolskiego nie być obce, — znasz go pani może?“

W piersi Anielci ścisnęło się serce, — musiała powiedzieć coś, co nie zgadzało się z prawdą. Ależ, ile to miałaby do opowiadania, by ją młody lekarz należycie zrozumiał, — co za ból, — ale nie, — lepiej zamknąć cierpienie we własnej piersi. Odpowiedziała więc spuszczając wzrok i rumieniąc się:

„Nie, nie znam takiego nazwiska.“

Przy stole zachowywała się Anielcia milcząco.

„Proszę mi pozwolić“, rzekła, zwracając się do pani Haler, „że się udam do mego pokoju, — dla mnie samotność jest najlepszem lekarstwem, — godzina bezwzględnej ciszy i ból głowy ustanie.“

„Idź, idź, Anielciu, i połóż się, a ty, synu, odbędziesz teraz pewnie swoją wizytę?“

„Tak, mamo, — hrabia oczekuje mię“, odpowiedział Henryk, spoglądając na zegarek, „najwyższy czas, bym się udał do niego.“

Anielcia wyszła do swojego pokoiku. Doktor, zrobiwszy toaletę, wstąpił raz jeszcze do pokoju swej matki na pożegnanie. Ucałował jej ręce i szepnął:

„Mateczko, — przed wyjazdem jeszcze chciałbym wszystko załatwić. Wiesz, co mam na myśli. Pomów z Anielcią, powiedz jej, że niczego bardziej nie pragnę, jak połączyć się z nią, — uszczęśliwić ją, móc zwać swoją małżonką. Przyszłość otwiera się teraz przede mną, — mam więc prawo los jej z moim związać. Powiedz jej, mamo, że ją kocham i że jej szczęście będzie celem mego życia.“

„Rozmówię się z nią“, rzekła pani Haler, „gdy wrócisz, dowiesz się, jaką odpowiedź mi dała. Mój Boże, cóż ci ma zresztą odmówić! Będzie się czuła naturalnie szczęśliwą. Jakżeby nie miała ciebie kochać, — ciebie, — którego każdy, co pozna, pokochać musi.“

Pocałowała syna i odprowadziła do drzwi domu. Z macierzyńską dumą spoglądała za nim, jak wsiadłszy do najętego powozu, odjeżdżał.

Hrabia Zygmunt musiał już oczekiwać lekarza, bo skoro tylko przed pałacem jego wysiadł, przyjął go stary Walenty następnemi słowami:

„Jeżeli mam zaszczyt mieć przed sobą pana doktora Halera, proszę na górę. Pan hrabia oczekuje.“

W minutę później stał doktor przed hrabią Zygmuntem.

Tak jak jest rodzaj miłości, która na pierwsze wejrzenie kiełkować zaczyna, tak jest i przyjaźń co na pierwsze spojrzenie, — oparta na mimowolnej sympatji, — budzi się. Ci obydwaj mężczyźni, co się poraz pierwszy ujrzeli, doznawali uczucia, jakby ich nierozerwalna przyjaźń odtąd łączyć miała.

Z ujmującą grzecznością, rękę na powitanie wyciągając, przemówił hrabia Sokolski:

„Witam pana, panie doktorze, — cieszę się niewymownie, że go poznać mogę. Słyszałem wiele o panu pochlebnego, — jako o uczonym i filantropie. Czytałem pański artykuł, — nie przeczuwa pan, jakie zrobił na mnie wrażenie! Mam bowiem u siebie w domu biedną chorą na umyśle, do której wzywałem wszystkie znakomitości lekarskie, — niestety, wszystko napróżno.

„Ach, kochany panie doktorze, gdybyś pan był tym, któryby jej zdrowie przywrócił, wdzięczność moja nie znałaby granic!“

Poprowadził doktora do niży przy oknie, a gdy zasiedli w fotelach, jął mu opowiadać o biednej, nieszczęśliwej Almie, co pawilon ogrodowy u niego zamieszkiwała. Skreślił mu początek choroby, zamilczając jednak właściwą jej przyczynę, to jest błąd swój.

„Gdym więc panu opisał stan mojej biednej chorej“, kończył hrabia, „proszę, niech mi pan powie otwarcie, bez ogródek: Wierzy pan w możliwość wyzdrowienia, — może mi pan robić nadzieję, że moja Alma odzyska zmysły i stanie się napowrót zdrowym członkiem społeczeństwa?“

„Panie hrabio“, odrzekł młody lekarz, „byłbym szarlatanem, gdybym nie widziawszy chorej, jakąkolwiek stanowczą dawał odpowiedź. Chorzy umysłowo przedewszystkiem wymagają starannej i dokładnej obserwacji, bo ta choroba nieszczęsna przejawia się w tylu odcieniach, że każdy poszczególny wypadek

stanowi sam przez się zwyczajnie odrębną dla siebie chorobę. To jedno jednak ze spokojnem sumieniem mogę powiedzieć: Gdzie niema poważnej choroby mózgu, tam wyzdrowienie nie jest wykluczone. Gdyby u pańskiej pupilki, panie hrabio, było coś podobnego, dawnoby się choroba była katastrofą zakończyła. Że jednak chora mimo długoletniej choroby żyje, — na tej okoliczności można budować nadzieję, że choroba jej jest uleczalną.“

Hrabia uchwycił rękę doktora i trzymał ją długo w niemym, gorącym uścisku.

„Panie doktorze, dzięki ci za te słowa pociechy i choć słabej nadziei, ale zawsze nadziei. Proszę pana bardzo, jedź do kraju, — do mej majętności, — rozlokuj się na mym zamku i weź ją pod swoją opiekę, moją biedną Almę. Dziś jeszcze zatelegrafuję i wydam odnośne rozkazy, — niechaj kilka pokoi będzie przygotowanych dla pańskiej dyspozycji. Po pewnym przeciągu czasu zechce mi pan otwarcie wyznać, czy jest nadzieja. A gdyby pański pobyt okazał się na dłuższy czas konieczny, chociażby i rok, — proszę cię, — zaklinam panie doktorze, poświęć tyle czasu ile potrzeba. Pamiętaj, żem bogaty i niemasz w granicach możliwości sumy, którąby za wyleczenie Almy była mi za wielką!“

„Panie hrabio“, odparł doktor Haler, „dziś jeszcze opuszczę Paryż, by się udać w podróż do pańskiej chorej. Zaufanie, którem mię pan darzy, czyni mi zaszczyt, staraniem mojem usilnem będzie usprawiedliwić je.“

„W takim razie sprawa narazie załatwiona, a tę bagatelkę,“ wręczając doktorowi portfel, rzekł hrabia, „proszę zechcieć przyjąć jako koszta podróży i częściowe wynagrodzenie.“

Henryk, nie rzuciwszy okiem na portfel, lekkiem skinieniem głowy podziękował. Następnie pożegnał się z hrabią, który go jeszcze raz zapewnił, że wdzięczność jego nie będzie miała granic, skoro się doktorowi uda wyrwać chorą z ciemności obłędu.

Doktor Haler, gdy powóz, do którego wsiadł, już ruszył, wydobył z kieszeni portfel, — przestraszył się niemal wysokością sumy, jaką mu hrabia wręczył. 15.000 franków! Toż to suma, jakiej dotąd razem w życiu swojem nie widział, — więcej, jak w przeciągu trzech lat zarobił.

„Szczęśliwy dziś dzień dla mnie!“ rzekł do siebie, chowając portfel na piersiach. „Z tych pieniędzy drobnostkę wydam na podróż, — z reszty będę mógł odpowiednio się urządzić. Wszystko teraz dobrze, — ostatnia przeszkoda usunięta, — Anielcia może być moją!“

Nie przeczuwał, co za scena w tej chwili rozgrywała się w domu między matką a Anielcią.

Anielcia wcześniej, jak się pani Haler spodziewała, weszła do jej pokoju i zajęła się przygotowaniem kawy.

Pani Haler przystąpiła do niej, uścisnęła serdecznie, mówiąc:

„Anielciu, chciałabym pomówić z tobą na serjo. Powiedz mi szczerze, dobrze ci tu z nami?“

„O, — jak pani pytać jeszcze może“, odparła Anielcia. „Odkąd ten zacny człowiek, który mię wychował, oczy zamknął na wieki, — od tego czasu nie zaznałam uczucia, co to jest dom, co ojczyzna. Tu przy was, droga pani, zaznałam go znowu.“



Na zachodzie wielkiem powodzeniem cieszą się wycieczkowe pociągi, w których można doskonale pomieścić nawet składane krzesła. Na zdjęciu widzimy pasażerów, oczekujących wygodnie na peronie wyruszenia pociągu.

„Jeżeli ci tu tak dobrze i swojsko?“ ciągnęła dalej pani Haler, „czy nie zechciałabyś? — Nie, poco mam dużo słów tracić. Mój syn prosił mię, bym się ciebie spytała o coś, o co sam pytać się nie ma odwagi, przynajmniej teraz jeszcze nie. Lepiej może, że się najpierw z moich ust o tem dowiesz. Henryk kocha cię, chce, byś była jego żoną, — zgadzasz się na to, — chcesz być moją kochaną, drogą córką, Anielciu?“

Bladość pokryła lica nadobnej dziewczyny, — oczy przybrały wyraz szczególniejszego osłupienia, pierś gwałtownie falować poczęła.

„Cóż, Anielciu, — jesteś wzruszona, — pojmuję to, że cię moje wyznanie zaskoczyło. — Nieprawdaż, że kochasz mego syna i będziesz szczęśliwa, zostawszy jego żoną?“

„Pani droga“, przerwała Anielcia, „o, — cobym ja za to dała, gdyby pani nie wypowiedziała była tego, com dopiero słyszała. — Czułam się tu szczęśliwą, bom sądziła, że uczucie to, które miłością zwą, daleko ode mnie. Bóg mi świadkiem, nie było w mej myśli, wnieść nieszczęście do tego domu.“

Jeszcze jeden uścisk serdeczny, — jeszcze jedno skinienie w stronę Anielci, — i zniknął z przed oczu.

Gdy pani Haler napowrót weszła do pokoju i drzwi za sobą zamknęła, — nie hamowała się więcej. Padła na sofę szlochając. — Gdy Anielcia w kilka minut weszła do pokoju, przestraszyła się. Śmiertelna bladość okrywała twarz jej opiekunki. Nie do uwierzenia, co za zmiana z nią zaszła.

„Com ja winna, że na mnie cięży przekleństwo jakieś, — wszędzie, gdzie się ukażę, ucieka przede mną spokój a nieszczęście wstępuje w moje ślady. — Pani droga, pytała się pani przed chwilą, czy kocham jej syna. Na szczere pytanie, również otwarcie powiadam: nie, nie kocham go! — Czuję dla niego głęboki szacunek, serdeczną przyjaźń, ale miłość, — nie! — Mamo droga, — pozwól pani, że cię tak nazwę, — kochać można tylko raz w życiu, — miłość raz w grobie złożona, — nie zmartwychwstaje więcej. Jam kochała, — i gorzkie zrobiłam doświadczenie. — Nie dla mnie więcej to szczęście.

„Tak, — szczęściem by dla mnie było, zostać żoną syna pani, pani synową. Tysiące innych dziewcząt radowałoby się niezmiernie, gdyby je to szczęście spotkało. Mogłabym może powiedzieć ‚tak‘, bo natura ludzka przezwycięży wszystko i zniesie wiele, — ale mamże oszukiwać tego człowieka, na którego z szacunkiem i z uwielbieniem spoglądam? Mam podstępem zabierać mu, co najszlachetniejszego w mężczyźnie, — jego serce, w zamian mu swego nie dając, — nie mogąc równie gorącem uczuciem odpłacić? — Nie, przenigdy! — Syn pani wart takiej dziewczyny, której serce do innego mężczyzny jeszcze nie zabiło, — dziewczyny, której sam oczy otworzy na raj, który miłość w życiu człowieka stwarza. — To dla niego żona, jego godna! Ale nie ja, droga pani, — z grobem w duszy, z popiołami miłości w sercu.“

Łzy stłumiły głos Anielci, — rękami zakryła twarz i zaczęła szlochać. Ale i w oczach zacnej staruszki stanęły łzy.

„Tak to więc?“ rzekła z cicha, „daruj tedy, Anielciu, żem poruszyła rany twej duszy. Mój biedny syn, — jak mi go żal, — to okropny cios będzie dla niego, gdy się o tem dowie!“

A jednak pani Haler nie mogła zdobyć się na to, by synowi całą prawdę, bez ogródek powiedzieć, gdy w kwadrans po tej rozmowie wpadł do niej cały rozpromieniony, już od progu wołając:



Na wyścigach angielskich spotyka się zawsze bardzo eleganckie toalety. Na obrazku widzimy właśnie, stojące na trybunie dwie eleganckie panie z towarzystwa, w najmodniejszych toaletach sezonu.

„Mateczko, — zgadnij, co niosę z sobą? — Cały majątek, — rzeczywiście ogromny kapitał, — piętnaście tysięcy franków, które mi właśnie hrabia Sokolski wręczył. O jak ja się cieszę, — nie dla siebie, ale cieszę się, że odtąd, droga mamo, będziesz miała wygody, których ci dotychczas brak było a powtóre, że małżeństwu memu z Anielcią nic nie będzie teraz na przeszkodzie. Mamo! Mówiłaś z Anielcią, powiedziałaś jej, że ją kocham, kocham nad życie?“

Głęboko oddychając stała pani Haler przed synem. Spuściła głowę na piersi i rzekła półgłosem, jakby bojąc się, by tego kłamstwa ktoś trzeci nie podsłuchał:

„Mówiłam, mój synu, — prosiła o czas do namysłu“.

Henryk zadrżał.

„Czas do namysłu? — Gdyby mię kochała, nie namyślałaby się! A jednak, — nie, ja to pojmuję, — spadło to tak niespodzianie na Anielcię, — prawda ona mię za krótko jeszcze zna. Tych kilka miesięcy, które w naszym domu przepędziła, to za krótki czas, by mię dobrze poznać. Nie, mamo zlota, ja się jej nie dziwię, — nie mam żalu do niej. Czas do namysłu, powiadasz? — Jakże to długo ma trwać?“

„Aż — do powrotu twego z podróży,“ odparła pani Haler, co jej trwoga na myśl przyniosła.

Doktór Haler zamyślił się, — nic nie mówiąc więcej odszedł do swego pokoju i zaczął robić przygotowania do podróży.

Do małego kuferka podróżnego zapakował bieliznę i ubranie i to wszystko, czegoby na przeciąg czternastodniowego czasu mógł potrzebować. Już miał kufer zamykać, gdy sobie coś nagle przypomniał:

„Nie, tak nie odjadę, — muszę wziąć z sobą jakąś pamiątkę po niej, — wezmę obrazek jej, który wymalowałem!“

Jakby się przestraszył, że zdradził tajemnicę, — jakby się bał, by nie miał niepowołanego świadka, rzucił się ku drzwiom i zamknął je na klucz.

„Ona nie przeczuwała nawet, że mam jej obraz,“ mówił sam do siebie. „Nie mogłem się oprzeć pokusie, by nie uchwycić jej rysów i utrwalić na płótnie. Na moje dyletanckie siły, zdaje mi się że nie źle wypadło. Gdy wszyscy spali a poczciwa mateczka myślała, że ślęczę nad mojemi książkami, ja siedziałem w swoim pokoju i malowałem.

„To były moje najpiękniejsze chwile nocy. Każdemu pociągowi pędzla każdej kresce na obrazie towarzyszyła myśl, — o niej, — pieściłem się jej postacią, którą moja wyobraźnia odtwarzała, z lubością przenosiłem jej rysy na płótno, — to też w tym obrazie nie tylko ona, mój ideał, — ale myśli i marzenia o niej złożone, — tylko dla mego oka widzialne otaczają jej główkę jakby aureolą utkaną z mych najgorętszych uczuć. — Tak, wezmę ten obraz z sobą, — będzie mi towarzyszem w podróży, pieścić się będę widokiem jego, — osłodzi mi chwile i skróci czas nieobecności mojej“.

Otworzył szafę z książkami. Na wewnętrznej stronie ich drzwi wisiał obraz Anieli oprawiony w ramy.

W skromności swojej zwał się sam dyletantem, — w rzeczywistości był to portret po mistrzowsku wykonany.

Artystycznie wykonana twarzyczka Anielci, z tym smętnym, jej właściwym wyrazem w oczach wyzierała z obrazu. Tak, — to jej jedwabne, blond włosy, — to jej wielkie, ciemno-niebieskie oczy, — to jej usteczka, jakby utoczona, — tak, to była Anielcia, jak żywa, — ukochana jego Anielcia, — przyszła narzeczona.

To nie był zwykły portret, — artysta tchnieniem swego talentu, wlał weń życie, — powlókł jej oczy smętną powłoką zadumy, dał im wyraz tej naturalnej dobroci serca, niewinności i tłumionej żałoby. — Kto patrzył na ten obraz, doznawał iluzyj, że to rzeczywistość, że lada chwila z ust karminowych głos się odezwie.

Z wielką ostrożnością zdjął doktór obraz i umieścił go w kufrze.

Oglądnął się poza siebie, jakby z obawy, by go kto nie podpatrzył, wziął napowrót do rąk i wycisnął gorący pocałunek na własnym utworze:

„O, gdyby wiedziała, że ja ją, chociaż tylko na obrazie, całuję!“

Włożył go napowrót, zamknął kufer i klucz schował do kieszeni.

Przygotowania do podróży były skończone, — pacjentów nie spodziewał się na dzisiaj, — do studjów nie miał teraz ochoty, zszedł więc do pokoju matki, by czas mu jeszcze pozostały przepędzić w jej towarzystwie.

U matki zastał i Anielcię, która nakrywała stół do kawy. — Bacznemu jego oku nie uszło, że przed chwilą płakać musiała, — na jej twarzy malowało się przygnębienie.

„To ja przyczyną tych łez“, pomyślał, „może to łzy szczęścia i radości! — Kochanko mej duszy, — czas niedaleki, gdy będziesz moją, — ja ci łzę każdą na rzęsach twych gorącymi pocałunkami osuszę, — żadna chmura nie zaćmi horyzontu naszego szczęścia, — słońce jasnymi promieniami oświetlać będzie ścieżki naszego przyszłego żywota.

Anielcia była spokojna, zamyślona, — wobec doktora jakby nieśmiała, na pytania jego odpowiadała przyciszonym głosem i zdawała się być roztargniona.

Po kawie pani Haler wyszła z pokoju, — lekarz został sam na sam z Anielcią. Zdobył się na odwagę, przystąpił do krzesła, na którem siedziała i pochylając się nad nią, rzekł:

„Anielciu, — mama moja powiedziała pani wszystko, — nie wątpię, że w lepsze ręce sprawy mojej nie mógłbym złożyć. Gorąco musiała za mną przemawiać i mię bardziej w oczach twoich podnosić, jak na to zasługuję. Nic dziwnego, bo to matka“.

Anielcia milczała, wzrok spuściła na ziemię.

„Wiem już, żeś sobie wymówiła czas do namysłu. Znajduję to naturalnem, że tak ważny krok w życiu, jakim jest małżeństwo, zasługuje na rozwagę. — Moje postanowienie jest już niezłomne. Od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem, kocham cię, — i od tej chwili datuje się moje postanowienie, pojąć cię za małżonkę. Czy mi się uda miłość twoją pozyskać, nie wiem tego, — gdyby mię to szczęście spotkać miało, przysięgam ci, że cię na rękach nosić będę. Otoczę cię opieką kochającego mężczyzny, który dla ukochanej żony wszystko uczynić gotowy. — Czuję w sobie siłę do celów nadzwyczajnych, — gdy ty będziesz przy mnie, — ja czegoś jeszcze wielkiego dokonam. — Najdroższa, ja nie naglę, — ja cierpliwie czekać

będę, — ale choć jedno słowo daj mi na pożegnanie, — słowo nadziei".

Anielcia słowa tego nie znalazła. Cóż mu miała i mogła powiedzieć? — Miałaż go oszukiwać, łudzić, — dawać słowa nadzieji, która się nigdy spełnić nie miała? — Nie — była za otwartą i za uczciwą.

Młody lekarz nie zrozumiał jednak jej milczenia. Zachowanie się jej wytłumaczył sobie jako zwykłą nieśmiałość dziewczyny w chwili, gdy słyszy wyznania miłości kochanka.

Uchwycił jej rękę, podniósł do ust i wycisnął na niej przeciągły, gorący pocałunek.

„Bądź zdrowa, Anielciu, — za czternaście dni jestem z powrotem, — wtedy dasz mi odpowiedź. — Niech Bóg twojemi myślami kieruje i sprawi, by postanowienie twoje nam obojgu szczęście przyniosło".

Wzruszającem było pożegnanie matki ze synem. — Pieściła go i całowała, jakby go widzieć więcej nie miała, — a może ból, który w tej chwili znowu w piersi uczuła, nasunął jej smętne myśli o znikomości wszystkiego, co ludzkie, o nietrwałości życia.

„Mamo droga, — ja wnet powrócę!"

„Nie wiem, co mi jest, ale mam przeczucie, że się więcej nie zobaczymy. — Niech cię Bóg strzeże, mój drogi synu! Gdziekolwiek będziesz, błogosławieństwo moje z tobą. Bądź zdrów, — moje dziecko, — lepszego syna od ciebie mieć nie mogłam".

Otarła łzy i wyprowadziła go sama do sieni.

Z przerażeniem dostrzegła Anielcia widmo śmierci na ofiarę swą czyhającej, — ból serce ścisnął na myśl, że długo się już jej macierzyńską opieką cieszyć nie będzie.

Gdyby nie zapóźno, pobiegłaby za doktorem Halerem, by go z drogi zawrócić.

LXXII.

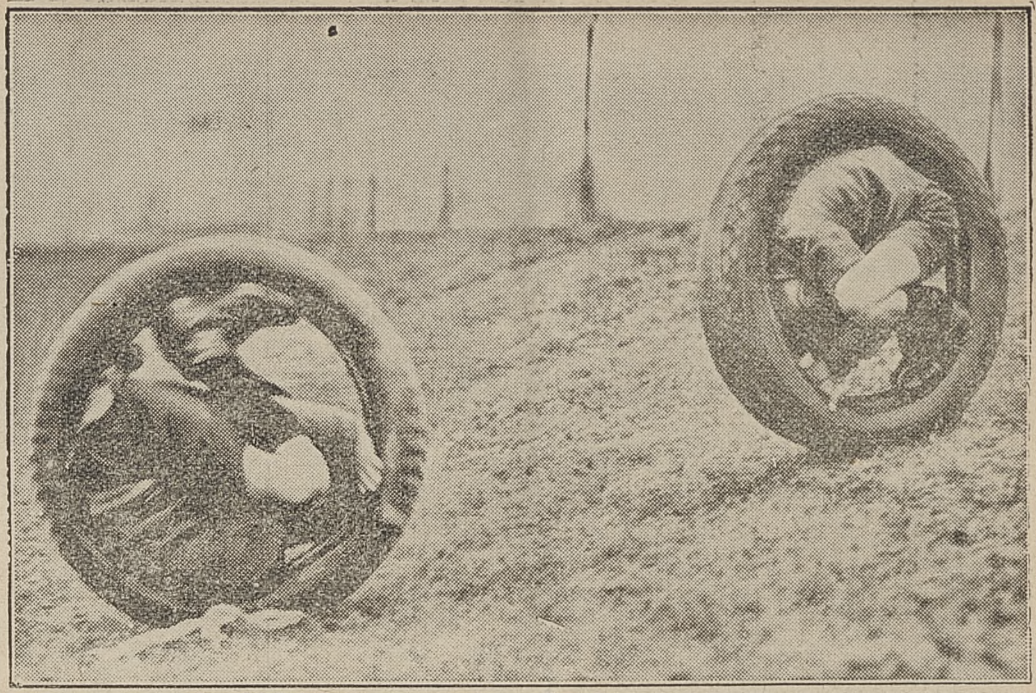
Jej dziecko.

By młodemu lekarzowi na niczem nie zbywało, by mu należyte zapewnić wygody, zdecydował się hrabia Zygmunt swego pocziwego, starego Walentego wysłać na zamek, do swojej majętności.

Walenty był z tego bardzo zadowolony — nigdy on się nie czuł swojsko w Paryżu, — pragnieniem jego było oddawna wrócić do majątku Sokolskich.

„W Paryżu ładnie, nie ma co mówić", — zwykł był mawiać, — „ale to nie dla mnie; to dla młodego człowieka, co chce i może jeszcze używać. Staremu trzeba spokoju.

„Zresztą ludzie mi się tu nie podobają, — wszystko goni w szalonem tempie za uciechami, jakby śmierć im krótki termin wyznaczyła, który wyzyskać całemi siłami i jak najprędzej się starają. Istne upiory wedle najnowszej mody poubierane, — o północy wychodzą na świat i wyprawiają harce do pierwszego świtania. Z dnia robić noc a z nocy dzień, — co to za życie, odwrócony porządek świata, — nie, to nie dla ciebie, Walenty, — lepiej zawsze pomiędzy swoimi".



Oryginalne wyścigi w oponach samochodowych. Nawet sport ma przejawy karykaturalne.

Tak to myślał i mówił do siebie często Walenty. Odetchnął też pełną piersią, gdy już siedział w pociągu a uczuł się szczęśliwym, gdy się znalazł na miejscu i przestąpił progi zamku Sokolskich.

Dzień później przybył doktór Haler. Walenty oczekiwał go na dworcu z powozem. Przywiózłszy na zamek, z godnością właściwą, starym zwłaszcza kamerdynerom rodów arystokratycznych, których członkami się niemal czują, z dumą oprowadzał doktora po zamku i pokazywał wspaniale urządzone apartamenta, w których nowy gość miał zamieszkać.

„Bardzo to ładne!" rzekł doktór do Walentego, „dziękuję wam, Walenty, za trud i staranie w urządzeniu dla mnie mieszkania. Ale czas na to, — by je dokładnie obejrzeć. — Teraz zaprowadźcie mię przedewszystkiem do pacjentki, — zresztą żal mi, żeście sobie tyle niepotrzebnego trudu zadali z urządzeniem dla mnie mieszkania, — ale ja tu mieszkać nie będę".

Stary Walenty wpatrzył się ze zdziwieniem na doktora.

„Pan doktór nie chce tu mieszkać, — w zamku?" Gdzież więc?

„Tam, gdzie chora, — w pawilonie ogrodowym! Muszę mieć pokój tuż przy niej, bym ją dzień i noc mógł obserwować. Bezwarunkowo muszę ją ciągle mieć na oku, bo tylko w ten sposób może mi się uda przywrócić jej zdrowie".

Doktór Haler kazał kufry swoje natychmiast zanieść do pawilonu ogrodowego.

Po niedługim czasie rozlokował się o ile można było najwygodniej w dwóch pokojach i poszedł do biednej chorej, by ją poznać, zbadać, o jej stanie zdrowia się przekonać. Wprzód jednak trzeba było otrząsnąć z siebie kurz z drogi, umyć się i przebrać.

Gdy w tym celu otworzył kufer, wpadł mu przedewszystkiem do rąk obraz Anielci. Podniósł go do wysokości twarzy i wpatrywał się z niewypowiedzianem wzruszeniem.

„Drogie me dziewczę!" zawołał pieszcząc wzrok swój widokiem tych pięknych, łagodnych, pełnych niewinności rysów, „gdy nie ty sama, to przynajmniej wizerunek twój jest ze mną! Tu nad mojem biurkiem zrobię miejsce dla ciebie. Ukrywać się nie potrzebuję, bo nikt się nie domyśla, kogo ten obraz przedstawia, a gdyby mię kto zresztą pytał o to, no i cóż? Kłamstwo małe nie zawadzi, — powiem, że to śliczne stworzenie to siostra moja!"

Haler zawiesił fotografję na przybitym gwoździu nad biurkiem i stał w niemym zachwycie, myśląc o tej, która niebawem do niego należeć miała.

„Jakto miłość z rozsądnego człowieka, jakim zdaje mi się, jestem, potrafi zrobić marzyciela, fantastę! — rzekł w końcu, ocknąwszy się, — „stoję tak, patrzę na ten obraz i napatrzeć się nie mogę, zapominając o głównym celu mojego tu przybycia. Bo czyż tu przyjechałem, by tęczowemi barwami wyobraźni malować raj i rozkosze? — Nie, nie czas na to, teraz mnie czeka inne zadanie, nieść pomoc biednej, nieszczęśliwej chorej. A cel to wielki i szczytny, jak szczytną każda walka w imię i dla ludzkości staczana, dużo bym dał za to, gdyby mi się udało, tę biedną kobietę, z którą teraz o ścianę mieszkam, wyrwać z kleszczy obłędu i wrócić jej światło zdrowego rozsądku. — Ale siły ludzkie do tego za słabe! Ty Panie w Niebiesiech, spojrzyj łaskawem okiem na usiłowania moje, które podejmę i spraw, by odniosły skutek na chwałę Tobie, a pożytek ludziom".

Podszedł do drzwi, otworzył je, przeszedł salonik, który również był przeznaczony dla niego i stanął przed starym Walentym, który go oczekiwał, by zaprowadzić do biednej Almy.

„Proszę za mną, panie doktorze: — przemówił stary, wierny sługa. — Tylko proszę się nie przestraszyć na jej widok. Straszne, jak ta kobieta wygląda. Istny upiór, z grobu powstały. Kto ją znał dawniej, dziśby jej nie poznał, — ani cienia z tego, czem przedtem była!"

„Znaliście ją więc, staruszku, jeszcze za lepszych czasów?“ — zapytał doktór.

„Czym ją znał?“ odparł Walenty, rozcierając łzę w oku. „Pomnę jakby to wczoraj dopiero było! Widzę ją, — w całym blasku młodości i zdrowia! Ach! Co też to za śliczna była kiedyś osoba! Com ja się tam do niej nachodził! Mój hrabia wciąż mnie posyłał z bilecikami, bukietami i innymi prezentami. Przedemną jednym nie miał żadnych tajemnic jak ich i teraz nie ma. Ileż to razy byłem tam u niej na poddaszu, gdzie tak skromnie, a jednak czyściutko i schludnie wszystko wyglądało. Hrabia chciał jej inne, daleko większe mieszkanie z komfortem urządzić, oparła się temu, nie przyjęła.

„I gdy mi tak nieraz, gdym odchodził, na pożegnanie swą drobną rączkę podała ze słowami: „Dziękuję ci, mój kochany Walenty, a pozdrów serdecznie odemnie twojego pana hrabiego Zygmunta, ach, panie doktorze, doznawałem takiego uczucia przyjemnego, jakie sprawia widok czegoś nadzwyczaj pięknego w naturze, pięknego i niewinnego, bez skazy. Istny kwiatuszek! Takie to miłe, takie słodkie, dusza się na jej widok radowała. Bóg tylko jeden wie, jak Go często prosiłem, by mi ją dał za panią, by sercem hrabiego pokierował tak, by Almę pojął za małżonkę“.

„A dlaczegoż tego nie zrobił?“ — zapytał doktór, „kochany Walenty, nie myślcie sobie, bym się tak tylko z ciekawości dopytywał. Ale lekarz, a zwłaszcza do takich chorób, musi znać dokładnie przeszłość swej pacjentki, — musi wiedzieć, gdzie początek tego wstrząśnienia duchowego, które ją pozbawiło rozsądku i jak się to stało. Dlatego, jeżeli tylko chorej dobrze życzycie, powiedźcie mi wszystko, co o niej wiecie“.

Stary sługa opuścił głowę smutnie na piersi i wzruszył ramionami.

„Tak, panie doktorze“, odrzekł, to były właśnie chwile jej największego szczęścia, o których wspomniałem, bo szczęściem jedynem i największem dla niej w życiu, była miłość mojego młodego hrabiego. Mój Boże, lata upłynęły a ja go wciąż zwę jeszcze młodym.

„Pamiętam, że raz hrabia Zygmunt przyszedł do domu, blady jak ściana, przerażony, — zaczął dzwonić, tak gwałtownie, żem myślał, drut się przerwie. A gdym wpadł do pokoju, przeczuwając coś niedobrego, nie poznawałem go prawie, taki był zmieniony.

„Pakuj rzeczy, wyjeżdżamy!“

„On mój pan, — a ja sługa! Jemu rozkazywać, a mnie słuchać. Nie pytając więc o nic, w milczeniu spakowałem wszystko, czego do dalszej podróży było potrzeba. A gdy tem byłem zajęty w bocznym pokoju, słyszałem jak hrabia zanosząc się od płaczu chodził po swoim gabinecie. Raz po raz wołał rozdzierającym głosem, którego nie zapomnę, póki życia mego:

„To nie może być, — to niemożliwe. Jeżeli ona mię oszukała, — komuż tedy z ludzi wogóle wierzyć?“

— Radbym był wtedy pójść do niego, rzucić mu się do nóg i rzec: Wierz jej, panie hrabio! Ufaj! W niej niema fałszu ni obłudy, jej oczy nie kłamią, jej serce nie zwodzi!

„Ale cóż, — milczeć słudze, gdy pan nie pyta. Samemu się mieszać w sprawy, to znaczy nic nie wskórać i przytem ściągnąć gniew na swoją głowę. A zresztą myślałem sobie, ot, to chyba przemijająca tylko scena zazdrości, jakto się nieraz między zakochanymi zdarza.

„Tymczasem wieczorem tego dnia naprawdę opuściliśmy pan mój i ja miasto. Droga prowadziła nas pod lazurowe niebo, do Włoch, i dopiero, gdyśmy granicę już poza sobą mieli, spoczęliśmy poraz pierwszy.

„Było to w Medjolanie. We wielkim hotelu zajęliśmy najwspanialsze apartamenta, a ja myślałem tak sobie, gdym się pięknemu miastu przypatrzył: Tu się twój pan uspokoi, tu znajdzie spokój i ukojenie!

„Przez calusieńką drogę siedział w kącie przedziału i popłakiwał z cicha. Wyglądał przybity, a mię już zaczynała ogarniać trwoga, by mu się tylko co w głowie nie pomieszało.

„Gdy nadszedł wieczór, mój pan stał się coraz niespokojniejszym. Spytałem, czyby lekarza nie zawołać, bo płakał i śmiał się naprzemian, wygadując najokropniejsze rzeczy, ot, tak, sam do siebie. Na moje skromne zapytanie obruszył się:

„Co mi po lekarzu, on mi duszy nie uleczy, zabieraj się!“

Niebawem wymknął się z hotelu, niespostrzeżony przeze mnie i wałęsał się całą noc po mieście. Dopiero rano przyszedł do domu, rzucił się nierozebrany i zapadł w ciężki sen.

„Tak szło wciąż w czasie całej naszej podróży, w pierwszych tygodniach. Byłem zrozpaczony nie wiedząc, co mam robić.

„Jednego dnia, — a było to na drodze między Florencją a Bolonją, — kazał mój pan zatrzymać powóz przed małą kapliczką.

„Wszedł do niej, rzucił się przed ołtarzem na kolana i płacząc, modlił się żarliwie. Zauważyłem później, że mu to ulżyło, bo stał się znacznie spokojniejszym.

„Od tego dnia począwszy, ile go razy gwałtowna żałość lub rozpacz porwała, a napady takie miewał często, szukał pociechy w kościele. I to go uspokajało.

„I tak nam prawie rok upłynął we Włoszech, — z biegiem czasu zaczął szukać towarzystwa, którego dotychczas starannie unikał a wkońcu nawet zaprzyjaźnił się ze starym hrabią Zamskim, który przebywał w Rzymie.“

„Czy w tym czasie otrzymywał pan wasz listy od Almy?“ — badał młody lekarz.

„Ani jednej litery!“ odparł Walenty, „imienia jej nigdy nie wspomniał, — widocznie starał się całą przeszłość zatrzeć i nie myśleć o niej. Za to dostawał więcej jak trzeba listów innych, właściwie mówiąc od innej kobiety. Była to ta, z którą się hrabia później ożenił, na nieszczęście swoje!“

„Nazwisko jej?“

„Hrabina Arabella“, rzekł Walenty, i ciągnął dalej opowiadając cały przebieg nieszczęśliwego małżeństwa, aż do tej strasznej nocy, kiedy hrabia Zygmunt w przytomności wszystkich sług swoich oćwiczył wiarołomną niewiastę trzciną i wygnał precz z zamku.

„W jakiż zaś sposób dostała się napowrót Alma do tego zamku?“ — pytał doktor, — „w jaki sposób odkrył ją hrabia? Czy już była wtedy obłąkana, gdy ją odnalazł?“

„Była już, była, panie doktorze! Wtedy właśnie, gdy tę niegodziwą kobietę, która mu tyle wstydu w dom wniosła, wypędził, musiał zrobić straszne odkrycie, bo kazał zaraz zaprzęgać konie i w cwał pędzić do zakładu obłąkanych doktora Morizano. — Stamtąd przywieźliśmy biedną Almę.

„Nazywała się chyba tylko tak. Bo z dawnej Almy był tylko cień! Z cudownie pięknej, kwitnącej zdrowiem i wdziękami kobiety, — stała się zgrzybiałą staruszką, — włosy posiwiały, zapadłe policzki, więcej do trupa, jak do żyjącej istoty podobna.

„Teraz, panie doktorze, wie pan wszystko“, kończył ze łzami w oczach wierny sługa, „a ją samą zaraz pan zobaczy. O, panie doktorze, jeżeli to w pańskiej mocy, ratuj ją, ratuj, co się jeszcze w niej uratować da. Piękności nie wrócisz jej, lat steranych zgryzotą i obłędem przeszłości nie wydrzesz, — ale wróć jej, jeżeli możesz, przytomność, wróć jej rozsądek.

„Jej choroba rzuca cień na mojego pana, żre go żal i wyrzuty sumienia i nie masz dla niego chwili spokojnej, póki ona nie wyzdrowieje lub też...

„Chodźmy“, otwórzcie drzwi rzekł, — jakby mu nagle spieszno było, doktor.

Drzwi poruszyły się bez szelestu w zawiasach i doktor Haler stanął na progu.

Obraz, który mu się przedstawił, był wstrząsający. Nawet jego, lekarza, opanowało głęboko nieprzyjemne uczucie i litość.

Przed nim znajdował się pokój urządzony z największym przepychem i wygodą zarazem. W głębi otwarty się drzwi, prowadzące do gabinetu, w którym pod niebiesko-jedwabnym baldachimem stało łóżko.

Posadzka była pokryta grubym, miękkim dywanem, a w środku skurczona postać, na której widok samemu lekarzowi łzy w oczach stanęły.

Było to jakby dziecko, mniejwięcej lat dziesięciu, niebożątko wychudłe, skóra tylko na niem i kości, dziecina, ale z białymi jak śnieg włosami. I to miała być ta kobieta, ta zachwycająca istota, co czarem swej postaci niewysłowiony urok na hrabim Zygmuncie wywierała.

Rok po roku obdzierał z niej piękność i siły, — rok po roku szarpał, jak zwierz drapieżny, targając świętokradzką ręką to, co było tak piękne, tak wzniosłe, tak zewnętrznie i wewnętrznie szlachetne. I dziś pozostały łachmany żebracze z tej nadobnej ziemskiej powłoki. Kości powleczone skórą. Twarz tylko potrafiła zachować z tych resztek łagodne rysy, coś z niewinności nieświadomego dziecka, gdyby tylko nie te wielkie, osłupiałe, połyskujące oczy.

Włos biały spadał w długich pasmach po biodra. Nieszczęśliwa nieznosiła, by ją inaczej czesano.

Siedziała skurczona na dywanie, w ramionach tuliła lalkę. (C. d. n.)

H-U-M-O-R

Zrozumiał.



— Na taki brzuszek bardzo dobrze robi użycie nieco gimnastyki na świeżem powietrzu.

— Myśli pan, że to poprawia apetyt?

Przezorni szkoci

Macphearson ożenił się. Po kilku dniach spotkał jednego ze swych przyjaciół.

— I cóż, pyta przyjaciel, dostałeś zapewne sporo prezentów ślubnych, srebro, jak zwykle?

— Nie wszystko było ze srebra — mruczy Macphearson.

— A co dostałeś od ojca?

— Flaszeczkę z kwasem do próbowania srebra.

Niewinne pytanie

— Czy Bałtyk jest głęboki?

— Owszem dosyć. A dlaczego pan o to pyta, panie Chrupczałka?

— Ee, tak sobie pytam! Bo moja teściowa wczoraj pojechała na Hel...

Dobry sen

— Ma pan jednak dobry sen, pomimo tylu długów.

— Nic dziwnego. Wierzyciele odwiedzają mnie tylko we dnie.

Wzruszający list

Pewnemu pasażerowi skradziono w tramwaju portfel z dowodem osobistym oraz gotówką.

Po paru tygodniach poszkodowany pasażer otrzymał list tej treści:

Sz. Panie M.!

Ukradłem panu w tramwaju 200 złotych. Ponieważ trapią mnie wyrzuty sumienia, przesyłam dwadzieścia złotych oraz dowód osobisty. Resztę otrzyma pan w miarę tego, jak sumienie będzie mnie gryzło.

Z poważaniem
X.

Nieodrodny synek

Pan Salo Pantelefon jest postępowym papą i swego synka Zbysiunia wysłał do internatu, prowadzonego iście po spartańsku. Po pewnym czasie przychodzi od Zbysiunia list:

„Proszę przysłać puchową poduszkę, bo tutaj są tylko z trawy".

Pan tatko odpisał:

„Nie posyłam żadne poduszki puchowe, bo z trawy morskiej są najzdrowsze, a ty masz być polski junak".

Odwrotną pocztą nadszedł od Zbysiunia drugi list:

„Czy tatko myślał, że ja te poduszki puchowe potrzebuję dla siebie!? Ja chciałem je pożyczać po dwadzieścia groszy za noc moim kolegom".

Kiepski warjat

Tydzień temu zwiedzałem zakład dla obłąkanych. Uwagę moją zwrócił młodzieniec, który siedział na taborecie i bez przerwy wykrzykiwał:

— Kuku! Kuku!...

Gdy go zapytałem, w jakim celu to czyni, odparł:

— Jakto? Pan nie wie?! Przecież jestem rozgłośnią wileńską!

Czystość to zdrowie

— Skąd pan wraca, panie Sołowiejczyk?

— Będziesz się pan śmiał, jak panu powiem. Z kąpieli!

— Co coś?

— Widzisz pan, panie Wicenmacher, ja już mam taką naturę, że co rok muszę się wykąpać, czy trzeba czy nie trzeba!

W szkole

Nauczyciel do ucznia: — Już po raz piąty w tym tygodniu muszę cię karać? I co ty na to?

Uczeń: — Cieszę się, że to już piątek!

Ponad siły

Wuj Teodor udziela swemu siostrzeńcowi mądrych rad i wskazówek życiowych.

— Pamiętaj moje dziecko, że dla prawdziwego mężczyzny nie istnieją trudności, którychby nie potrafił pokonać!

— A... a... czy wujcio próbował już kiedy włożyć z powrotem do tubki wyciśniętą pastę do zębów?

Alternatywa

— Postawiłem przed moim ojcem ostateczną alternatywę; albo pośle mi natychmiast 100 zł., albo rewolwer.

— No dobrze, a jeżeli ojciec pośle ci rzeczywiście rewolwer?

— W takim razie jestem zdecydowany natychmiast go sprzedać!...

W psiej restauracji.



— Czy bywa tu także koncert?

— Naturalnie, proszę pana, za jakiś kwadrans przychodzą muzykanci.

— Więc proszę mi prędko podać kawę, żebym przedtem mógł wyjść.

Jasno i zwięźle

W pewnej wsi ukazało się na budynku urzędu gminnego następujące ogłoszenie:

„Ten, który sprawcę, który pal, który na moście, który na drodze, która do Dziadolin prowadzi stał, wyrwał, wskaże, otrzyma nagrodę 2 zł".

Polityka

— Co to jest konferencja, tatusiu?

— Zebranie, na którem postanawia się kiedy nastąpi kolejne zebranie.

Usprawiedliwienie

Romek wysyła list w brudnej, poplamionej kopercie, której szkoda mu było wyrzucić.

Żeby się kolega nie obraził dopisuje na końcu listu:

Bardzo cię przepraszam, że koperta jest taka brudna; jak ją wrzuciłem do skrzynki, była jeszcze zupełnie czysta, ale widocznie powalała się w skrzynce.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.